

PROF. dr inż. Jan Woźniacki, prorektor Wyższej Szkoły Inżynierskiej jest delegatem na Wojewódzką Konferencję Sprawozdawczą — Wyborczą PZPR. Rozmawiamy o problemach, jakie zamierza podjąć w dyskusji; na wstępie profesor stwierdził, że koła naukowe Rzeszowa mają wobec władz lokalnych i społeczeństwa zobowiązania, dług, który powinny spłacić. Ten motyw przewijał się w naszej rozmowie dotyczącej zarówno merytorycznej działalności uczelni, jak i roli pracowników naukowo - dydaktycznych w środowisku.

Prof. Woźniacki bezpośrednio nawiązuje do wyników nauczania, którymi — zdaniem przedstawicieli władz — WSI zawiodła pokładane w niej nadzieje. Uczelnia ma kształcić poszukiwanych specjalistów, a tymczasem sprawność jest niepokojąco niska, nie różniąc się korzystnie od sprawności osiąganej przez uczelnie tradycyjne. Niepokoi to tym bardziej, gdyż rzeszowska WSI jest szkołą dla tego typu uczelni technicznych wiodącą.

Prof. Woźniacki uważa, że nie które z przyczyn tego stanu wymagają omówienia na forum wojewódzkiej konferencji partyjnej. Nowa dyscyplina — programowane nauczanie, w którym wykorzystuje się cybernetykę dla usprawnienia procesu dydaktycznego, zakłada m. in. konieczność powtarzania i nawiązywania do najslabiej opanowanych przez studentów partii materiału. Częstotliwość powtarzania ma być proporcjonalna do stopnia nieprzyswojenia wiadomości. Ale zastosowanie programowanego nauczania wymaga zwiększenia czasu na bezpośredni kontakt ze studentem.

— A bilans czasu pracownika naukowo - dydaktycznego — kontynuuje profesor — jest wprost katastrofalnie napięty. Potrzeby rosną szybciej niż kadry przybywa; stąd wielu pracuje ponad siły, prowadzi trzy i czterokrotnie więcej zajęć, aniżeli przewiduje norma. Ale pracować muszą, bo w przeciwnym razie dany przedmiot nie byłby wykładany. Nasze obowiązki dydaktyczne dodatkowo zwiększa przecięcie przez WSI wszystkich punktów konsultacyjnych w woj. rzeszowskim. Ten obowiązek musimy i chcemy podjąć, bo przecież zachodzi potrzeba kształcenia i doskonalenia kadry przemysłowej. Studia dla pracujących stwarzają ponadto okazję do spenetrowania terenu, co też nie jest bez znaczenia, zwłaszcza, że zamierzamy pomagać w rozwiązywaniu wielu problemów praktycznych. Słowem, wzrastają obowiązki, którym w obecnej sytuacji kadrowej nie jesteśmy w stanie sprostać. Nas zera dydaktyka. Odbija się to chociażby na pracy naukowo - badawczej, zwłaszcza młodszych, zamierzających się habilitować lub doktorować.

Sprawą więc zasadniczą dla uczelni jest własna kadra; angażowanie pracowników dojeżdżających to tylko półśrodkiem, tym bardziej że duży nacisk kładziemy na bezpośrednią pracę wychowawczą z młodzieżą. Pracownik dydaktyczny nie może ograniczyć się tylko do przewidzianych planem zajęć; musi mieć czas na żywy kontakt ze studentami, nawet w domach akademickich czy na stacjach.

Tworząc nowy typ uczelni, jakim są szkoły inżynierskie, liczone w dużej mierze na kadre z przemysłu. Kilku rzeczywiście pozyskaliśmy. Ale wybitny specjalista podejmujący pracę dydaktyczną traci materialnie. Muszą więc współgrać określone bodźce, jak możliwość rozwoju naukowego, uzyskiwanie stopni naukowych... Bodźce moralne są istotnie skuteczne, lecz nie zastąpią materialnych. Chodzi głównie o mieszkania. Wobec kilku pracowników naukowych władze lokalne nie dotrzymały zobowiązań, stawiając ich i uczelnię w ogólnie mówiąc kłopotliwej sytuacji. Zresztą niedotrzymywanie zobowiązań dotyczy nie tylko mieszkań.

Nie są to jedyne przyczyny powodujące niską sprawność kształcenia; ciekawe są także uwagi prof. Woźniackiego na temat przyczyn

dydaktycznych i socjologicznych. Oddzielnie to problemy, zwłaszcza, że zamierzam dalej pisać o działalności rzeszowskich naukowców na rzecz środowiska. Ograniczę się jedynie do pewnych spostrzeżeń; odniosłem wrażenie, że prof. dr inż. Woźniacki rozumie studentów, jego krytyczne sądy o młodzieży wolne są od uprzedzeń może dlatego, że jest nie tylko naukowcem, ale także dydaktykiem i działaczem społecznym. Podkreślam to dlatego, bo jakże często przedstawiciele młodej generacji pracowników naukowo - dydaktycznych tra-

teryzujący się wydatnym poszerzeniem i wzbogaceniem form pracy. Intensyfikacja uprawiania nauki idzie w parze z jej popularyzacją, z tym że dominować będzie właśnie popularyzacja. Stworzono szanse konsolidacji uczonych, popularyzatorów i licznych miłośników nauki. Od października 1966 r. przybyło 69 nowych członków; Towarzystwo liczy obecnie 186 osób, pracowników nauki różnych dyscyplin, techników, lekarzy...

Ton nadają technicy; takie przy najmniej odniosłem wrażenie po przeglądnięciu planów pracy, któ-

rowanych środowisk, a także — jeśli można użyć tego słowa — usługi szkoleniowe. Przewiduje się np. szkolenie z dziedziny programowania maszyn cyfrowych, które obejmie takie zagadnienia jak programowanie liniowe, metody numeryczne a matematyczne, stateczność rozwiązań równań różniczkowych.

Wkraczam bezpośrednio w zakres naukowej i społecznej działalności profesora Woźniackiego, który jest w Rzeszowie popularyzatorem elektronicznych metod obliczeniowych. Ich zastosowanie stale wzrasta; nieodzowne są w prze-

szczyzny, monografie dialektologiczne regionu, studia historyczno-literackie nad współczesnymi pisarzami ze szczególnym uwzględnieniem pisarzy związanych z naszym regionem. Bogato reprezentowana jest historia, archeologia i etnografia. Podejmie się także studia nad przestępczością wśród młodzieży, wpływem urbanizacji i ruchów demograficznych na środowisko.

Wyniki badań będą prezentowane w publikacjach Towarzystwa: „Roczniku Województwa Rzeszowskiego” oraz niedawno wydawanym „Kwartalniku Rzeszowskim”, a także planowanych zeszytach naukowych, poświęconych poszczególnym dyscyplinom; zeszyty ukażą się dopiero w drugim półroczu 1967 roku. — Chcemy — podkreśla prof. Woźniacki — ponosić odpowiedzialność za poziom naukowy naszych publikacji, dlatego przyjęliśmy rygorystyczny regulamin kwalifikacji prac do druku.

Ostrożność jest w pełni uzasadniona, biorąc pod uwagę niski niejednokrotnie poziom regionalnych publikacji, które często ukazywały się chyba tylko dla zaspokojenia ambicji ludzi niewiele mających do powiedzenia, chociaż np. publikacje przemysłu, również regionalne, odznaczały się dużymi walorami.

Skoro już wspominał o Przemysłu, to warto dodać, że te dwa regionalne towarzystwa podejmują ściśle współpracę; jeden z numerów „Kwartalnika Rzeszowskiego” będzie w całości poświęcony Przemysłowi, a artykuły i rozprawy dostarczą przemysłowi autorzy. Sądzę, że w zakresie nauk humanistycznych współpraca będzie dla Rzeszowa bardzo korzystna.

Przedstawione skrócone plany Towarzystwa są zapowiedzią spiaczenia długu, o którym mówił prof. Woźniacki, a równocześnie zapowiedzią dalszego oddziaływania, zresztą już widocznego, kręgów naukowych na środowisko. Muszą być jednak po temu spełnione określone

(Ciąg dalszy na str. 2)

Zdzisław Kozioł

WARUNKI SPŁATY DŁUGU

ca bezpośredni kontakt ze studentami...

Prof. Woźniacki mówił np. o braku wyrobionego stylu pracy organizacji studenckich, co nie pozostaje bez wpływu na ambicje i pracowitość; młodzież tę cechuje niesystematyczność, „szturmowe” przyswajanie wiedzy tuż przed egzaminem. W pewnym stopniu jest to rezultatem „młodości” rzeszowskiego środowiska akademickiego. W związku z przybliżeniem uczelni do „terenu” podjęli studia także ci, którzy prawdopodobnie nie studiowali w innych ośrodkach. Nie bez znaczenia są braki wyniesione ze szkoły średniej; młodzież ambitna i zdolna ma szanse przyjęcia na uczelnię o ugruntowanej od lat pozycji, a szkoły inżynierskie? Wielu nie wie nawet, jaka ma być sylwetka wychowanka WSI.

— Nie oznacza to jednak — kontynuuje prof. Woźniacki — że wśród naszych studentów brak jednostek utalentowanych. W ogóle młodzież z Rzeszowskiego odznacza się wieloma walorami, np. notujemy wysokie uzdolnienia matematyczne.

Jak już wspominałem zagadnienia te wymagają odrębnego potraktowania. Na konferencji prof. Woźniacki zamierza również przedstawić pewne problemy z działalności Rzeszowskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, którego od października 1966 r. jest prezesem. Towarzystwo działa już 30 lat, a obecnie wchodzi w kolejny etap charak-

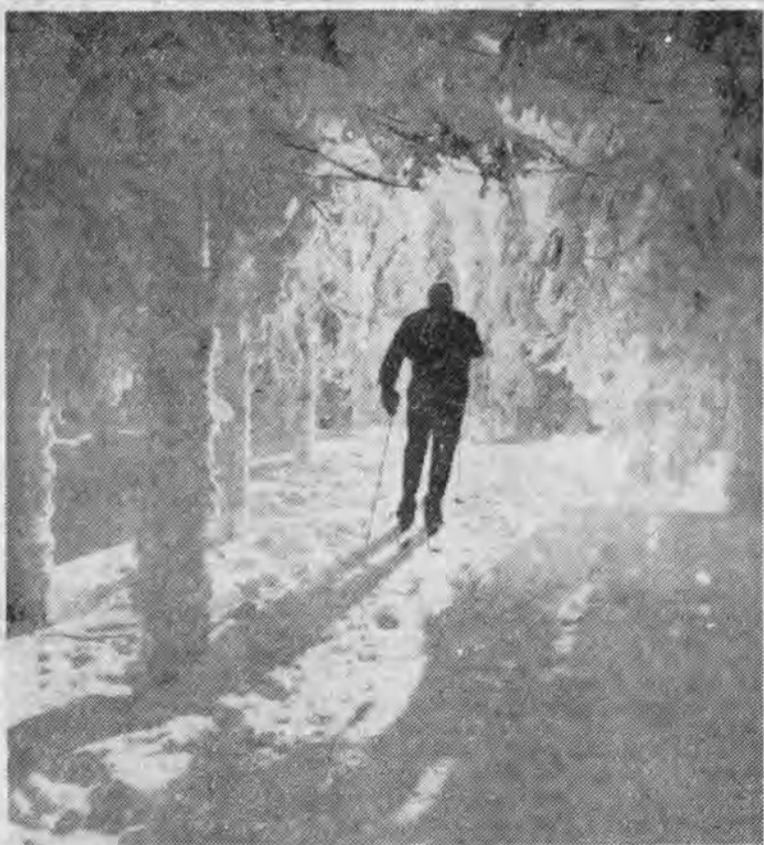
re cechuje dokładność, precyzją, ścisłość w ustalaniu zadań i sposobów gwarantujących ich realizację. Budzi to zaufanie, że z rozmachem rozpoczęta działalność będzie uwieńczona powodzeniem. I jeszcze jedno: w tym zespole ludzi można sporo zrobić w zakresie humanizacji techników i politechnizacji humanistów; program działalności sprzyja przelamaniu barier oddzielających te grupy inteligencji.

Jedną z form działalności naukowej będą sympozja z udziałem przedstawicieli innych uczelni krajowych, Polskiej Akademii Nauk oraz być może uczonych z Lwowa, którzy wystąpią z referatami lub komunikatami naukowymi. I tak np. Wydział Nauk Humanistycznych Towarzystwa zamierza zorganizować sesję poświęconą twórczości Wilhelma Macha, wydział Nauk Matematyczno-Przyrodniczych i Nauk Technicznych planują sympozjum na temat drgań i związanych z tym zagadnień i metod numerycznych. Wydział Nauk Technicznych zorganizuje dwa sympozja na temat dynamiki konstrukcji oraz wybranych zagadnień z elektrotechniki.

W sympozjach wezmą także udział przedstawiciele miejscowego przemysłu, dla którego stanowiąc będą poważną pomoc teoretyczną i praktyczną. Jest to jeden z ważniejszych frontów działalności Towarzystwa, które — jak już wspominałem — obok uprawiania nauki, zamierza ją intensywnie popularyzować. Planuje się więc odczyty popularnonaukowe dla zaintere-

myśle, administracji, medycynie, nie mówiąc o innych dziedzinach. Prof. Woźniacki jest założycielem i przewodniczącym komisji do spraw elektronicznej techniki obliczeniowej przy NOT. Komisja liczy już 25 entuzjastów, pracowników naukowych uczelni oraz praktyków z przedsiębiorstw przemysłowych Rzeszowa, Gorlic, Stalowej Woli czy Tarnobrzega. Elektroniczna technika obliczeniowa, rewolucjonizując metody zarządzania spotyka się jednak z oporami; stąd intensywna ich popularyzacja obliczona na wytworzenie sprzyjającej atmosfery, w której tradycjonalisci nie będą śmieli oponować. Weźmy pod uwagę społeczny aspekt tego zagadnienia!

Wyeksponowałem na plan pierwszy niektóre problemy dotyczące nauk ścisłych; w planach Towarzystwa sporo miejsca zajmują również nauki humanistyczne, m. in. studia nad onomastyką Rzeszow-



W DRODZE...

CAF — OLSZEWSKI

Wielka Droga Teatralna Arnolda Szyfmana

Znów teatr polski okryła żałoba. Odszedł jeden z najbardziej zasłużonych twórców sceny polskiej, organizator życia teatralnego w okresie ostatnich sześćdziesięciu lat, wychowawca całego pokolenia aktorów i reżyserów, twórca Teatru Polskiego, wieloletni jego kierownik: Arnold Szyfman.

Po studiach filozofii i historii sztuki na uniwersytetach Jagiellońskim i berlińskim Arnold Szyfman poświęcił się działalności literackiej i teatralnej. Jako dwudziestoletni autor napisał sztukę „Fifi”, wystawioną w Krakowie i w Warszawie, a w rok później — powieść satyryczną „Pankracy August I”. Po założeniu w 1906 roku w Krakowie teatru „Figliki”, Arnold Szyfman poświęca się już wyłącznie teatrowi.

Warszawa potrzebowała wielkiej sceny, sceny, na której wystawiano by sztuki polskie. Mysł tę podjął młodziutki przybysz z podwawelskiego grodu przeniknięty duchem „Zielonego Balonika” i „Słówek” Boja, twórcy artystycznego kabaretu „Momus” w Warszawie, którego pierwsze przedstawienie zostało zawieszono przez władze carskie w Noc Sylwestrową, 31 grudnia 1908 roku za zbyt patriotyczny i antycarski repertuar.

Dzięki staraniom Arnolda Szyfmana powstaje Towarzystwo Akcyjne Budowy i Eksploatacji Teatrów w Królestwie Polskim. Zakupiono przy ulicy Karasia plac, na którym według planów architekta Czesława Przybylskiego wyrósł gmach Teatru Polskiego. Koszt budowy wyniósł,

według ówczesnych przeliczeń, około 150 000 dolarów.

Teatr otwarto premierą „Irydiona” Zygmunta Krasińskiego. Rozpoczęła się wielka droga teatralna Arnolda Szyfmana.

Dyrektor nowo powstałego teatru skupia wokół siebie najwybitniejszych aktorów i reżyserów. Przybytko-Potocka, Dulębianka, Leszczyński, Sosnowski, Węgrzyn, Zelwerowicz, Junosza-Sępowski, Karol Frycz, a później Leon Schiller oraz Jaracz grają i wystawiają sztuki z wielkiego polskiego repertuaru na scenach prowadzonych przez Arnolda Szyfmana. Dzieła Mickiewicza, Słowackiego, Fredry, Wyspiańskiego, Przybyszewskiego, Staffa, Rittnera uświetniają przedstawienia Teatru Polskiego.

Po ostatniej wojnie Arnold Szyfman przystąpił natychmiast do odbudowy „swojego” Teatru Polskiego, który już 17 stycznia 1946 roku — w rok po wyzwoleniu Warszawy — otworzył swe podwoje przedstawieniem „Lilli Wenedy”. A potem — budowa Teatru Wielkiego, która przysporzyła Mu w ostatnich latach życia tyle kłopotów i zmartwień.

Dziś, kiedy dzieło budowy tej placówki, której poświęcił wszystkie swe siły, jest podziwiane przez swoich i obcych, odchodzi Jego twórca w pełni sił twórczych mimo 84 lat życia, czego dowodem wydana ostatnio pierwsza część Jego pamiętników, pt. „Labyrinth teatru” i znajdujące się w przygotowaniu dalsze ich tomy.

Teatrowi polskiemu ubył jeden z najbardziej zasłużonych ludzi w jego rozwoju.

ADRIAN CZERMIŃSKI

Jan Grygiel
Julian Woźniak

Piękna pasja teatru

Festiwal Kulturalny Związków Zawodowych trwa. Wielki przegląd dorobku kulturalnego amatorów związkowców prawie we wszystkich dziedzinach działalności artystycznej, znajdzie się obecnie na etapie eliminacji centralnych. Przed kilkoma dniami, jak już informowaliśmy w „Nowinach Rzeszowskich”, w naszym województwie odbył się Ogólnopolski Przegląd Związkowych Teatrów Dramatycznych. Zasadniczą rolę gospodarzy tej pięknej i wielkiej imprezy podzieliły się dwa najsilniejsze ośrodki twórczej pracy kulturalno-oświatowej: Zakładowy Dom Kultury WSK w Mielcu i Zakładowy Dom Kultury w Stalowej Woli. W czasie tego „maratonu” teatralnego, który zgromadził wielu miłośników sceny z całego województwa, mieliśmy możliwość zobaczyć wiele spektakli o różnych poziomach: od znakomych do miernych — poczyniliśmy również sporo spostrzeżeń na temat obecnej sytuacji w naszym amatorskim ruchu teatralnym. Spostrzeżeń zarówno krępujących, jak i pesymistycznych... Mój sąsiad na kolumnie „Widnokraę” relacjonuje swoje wrażenia z Mielca, ja pragnę podzielić się z czytelnikami swoimi notatkami, impresjami i przemyśleniami z drugiej części eliminacji w Stalowej Woli. Nie zamierzam recenzować wszystkich spektakli, które oglądałem, gdyż nie pozwala na to brak miejsca na tych łamach — będzie to tylko relacja zaangażowanego świadka.

Do najciekawszych spektakli „dni teatralnych”, zorganizowanych w ramach Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych na scenie ZDK WSK w Mielcu — niewątpliwie należy zaliczyć spektakl „Król IV” Stanisława Grochowiaka w wykonaniu Międzyzakładowego Klubu Handlowca ze Świdnicy. Ten spektakl zdecydowanie wyróżnił się spośród dzieł pozostałych, jakie oglądałem na mieleckiej scenie. Cechowała go konsekwentna myśl inscenizacyjna, kryjąca się pod określeniem „teatru propozycyjnego”. Reżyser Tadeusz Pajdała zadbał nie tylko o nowoczesną formę sceniczną, ale również o kulturę słowa wykonawców i ideowo — artystyczny poziom przedstawienia.

Podjęcie współczesnej tematyki, zakamufłowanej w formie groteski, uznać należy za przedsięwzięcie śmiałe, kwalifikujące się do punktacji in plus. Gdy do tego dodamy, że Świdniccy aktorzy uczestniczą w zespołach innych form scenicznych — należy tym pozytywniej ocenić ich umiejętności i wysiłek.

Zupełnie inna ocena należy się zespołowi „Reduta Śląska” huty „Kościuszkowa” z Chorzowa. Zespół o dużych tradycjach i niejednym sukcesie,

odniesionym na różnych festiwalach i przeglądach w ciągu 35 lat istnienia — tym razem zaprezentował wodewil o banalnej akcji sceniczej — „Romans pani Majstrowej” — Wincentego Rapackiego. W sumie, z niełatwego zadania zespół wywiązał się na „piątkę”, prezentując szeroki wachlarz możliwości aktorskich. I gdyby nie słabsze nieco głosy wykonawców głównych ról — różnica między teatrem amatorskim a zawodowym — byłaby zupełnie niewidoczna. Na tę pozytywną ocenę z pewnością rzutują wykonawcy ról dyrektora teatru, Józka — terminatora czy majstra.

W czołówce znalazł się również zespół teatralny ZDK WSK w Mielcu, który — jakkolwiek wystawiając sztukę o niewielkich wartościach literackich, miłośnicie A. Szyplulskiego „Śniadanie, obiad, kolacja”, czyli jeden dzień odpowiedzialnego działacza społecznego — uzyskał nie tylko pozytywną opinię w komisji oceniającej, ale również duże brawa mieleckiej publiczności. Mielczanie zaprezentowali spektakl zupełnie inny niż na wojewódzkim przeglądzie teatrów amatorskich. Zagrali łącznie koncertowo; to był pokaz wysoko postawionej finezji sceniczej i aplauz

publiczności był jak najbardziej uzasadniony.

Osobny rozdział to spektakl wg J. Andrzejewskiego „Popiół i diament” w wykonaniu zespołu teatralnego Zakładów Przemysłu Bawełnianego z Bielawy. Adaptacja sceniczna: Han

nik 20” — Bratnego, w wykonaniu Teatru ZDK ze Stalowej Woli było aktem dużej odwagi zespołu. Skala trudności, jak na amatorów, była olbrzymia. Czterdzieści osób obsady, ryzyko odejścia od formy teatru kameralnego, do której zespół przy-

wykonawcy zaprezentowali niezłą kulturę wokalną, ale nieco słabsze aktorstwo, orkiestra grała czysto i poprawnie. Wprawdzie skala i siła głosu u większości solistów nie zawsze były wystarczające, lecz braki równowagi sprawności technicznej śpiewaków amatorów. Na wyróżnienie zasłużył świetny baryton i doskonali aktor, zdecydowanie górujący nad całym zespołem, Stanisław Mroczkowski w roli przewodnika Nikity. On był również reżyserem i scenografem widowiska. Przedstawienie zostało bardzo życzliwie przyjęte przez widzów dzięki swej barwności i humorowi, a zespołowi przyniosło III nagrodę za udane poszukiwania w dziedzinie teatru muzycznego. I chociaż niewiele teatrów amatorskich może sobie pozwolić na tego rodzaju kierunek repertuarowy, gdyż teatr muzyczny wymaga od zespołu ogromnej pracy i specjalnych uzdolnień, to jednak ta droga zasługuje na życzliwą uwagę.



Teatr ZDK WSK Mielec. A. Szyplulski „Śniadanie, obiad, kolacja”. Na zdjęciu: Grażyna Kułpa i Stanisław Skorek.

na Okraskowa i Teodor Mierzeja. Nazwisko znanego działacza amatorskiego ruchu teatralnego — Teodora Mierzeja, zdawało się gwarantować wysoki poziom artystyczny przedstawienia. Stało się jednak inaczej. Adaptatorzy powieści poszli na wielowatkowość fabularną i pokazali — z konieczności — w migawkowym skrócie wszystkie kolejne motywy akcji. Stąd — ambitne zamierzenie zakończyło się składanką z mniej lub bardziej udanych scen. Wydaje się również, że błędnie odczytano sywetki dwóch bohaterów spektaklu — a mianowicie Maćka i Szczuki. Obie „wyprano” z ludzkich cech. Pierwszemu odebrano młodzieńczą żywiołowość i szczerą odczuć, a zastąpiono dość prostackim, bezpardonowym podejściem do aktualnych — ważnych historycznych wydarzeń. Z drugiego — uczyniono typowego pozytywnego bohatera, istniejącego na zasadzie ideowego paragrafu, a pozbawionego tych cech, które tak bardzo zbliżają tę postać powieści czytelnikowi. Kilka udanych scen, ze szczerością, choć naiwnie odtworzonych przez wykonawców nie zdołało naprawić ogólnego obrazu rozwleczonego i niekonsekwentnego przedstawienia.

Pozytywnie ocenić należy występ zespołu Zakładów Metalowych ze Skarżyska z „Braćmi” Z. Wróbla — współczesną sztuką, nie przedstawiającą większych wartości artystycznych. Niemniej robotę reżyserską i aktorską uznać należy za godną podkreślenia. Jakkolwiek komediewe zakończenie nie było konsekwentną interpretacją utworu — reżyser Bolesław Orski wybrnął szczęśliwie z trudnego zadania.

Do najsłabszych zespołów, jakie widzieliśmy na mieleckiej scenie zaliczyć należy zespół Zakładów Azotowych z Kędzierzyna z „Igraszkami z diabłem” J. Drdy, zespół kopalni „Siersza” z Myślachowic z „Dziś-siątką” E. Pietryki, zespół Zakładów Silników Elektrycznych „Tameł” z Tarnowa ze sztuką Krystyny Salaburskiej „Piotr” oraz zespół kopalni „Grodziec” z „Mostem” J. Szaniawskiego. Na festiwalowej scenie prezentowały sztuki, które ocenić należy nieco krytycznie i stąd właśnie ta niezbyt pozytywna ocena. Np. zespół z Grodzka prezentując „Most” Szaniawskiego wystąpił z ciekawą interpretacją, choć reżyser nie poradził sobie z pointą, a gra niektórych aktorów pozostawiała wiele do życzenia.

★

Jedno z najlepszych przedstawień przeglądu — „Kolumbowie — rocz-

wyki, do trudnej formy monumentalnego widowiska o charakterze politycznym, ryzyko sprawdzania walorów dramatycznych powieści Bratnego na deskach scenicznych, wreszcie konieczność szukania właściwej koncepcji scenograficznej, to tylko niektóre elementy ryzyka artystycznego, przed którym teatr stanął. Nic dziwnego, że można było mieć do „Kolumbow” sporo zastrzeżeń. Nie wszyscy aktorzy stanęli na wysokości zadania, zwłaszcza w scenach walki w I części sztuki. Widać było, że ci młodzi ludzie znają wojnę tylko ze słyszenia i z wyobraźni — jako powstańcy byli nieautentyczni. W tej części pierwszej zbyt często i natrętnie działały efekty akustyczne — odgłosy natrętnie strzelaniny i sentymentalnych melodii zagłuszały dialogi na scenie, bez umiaru stosowano również zmiany światła — to w sumie rozrywało spójność dramaturgiczną aktu I. Mimo to jednak teatr ze Stalowej Woli w pełni zasłużył na I nagrodę, dał spektakl dynamiczny, ambitny i nowatorski w warunkach sceny amatorskiej. Za te właśnie odwagę poszukiwań, za śmiałe zerwanie z konwencjonalizmem teatru XIX-wiecznego (a taki model niestety przeważa u amatorów) uzyskał wysoką ocenę sądu konkursowego. Należy tylko gratulować zespołowi ze Stalowej Woli interesującej 50 premiery, zamykającej długoletni okres działalności teatralnej.

★

Wiele wzruszeń dostarczył widzom drugi laureat równorzędnej I nagrody, zespół teatralny ZPB im. F. Dzierżyńskiego z Łodzi. Oglądaliśmy spektakl „Pamiętnik Anny Frank” urzekający skupieniem, czystością, oszczędnością środków ekspresji i aktorstwem wysokiej klasy. Sugestywna i funkcjonalna choć umowna scenografia, precyzyjna robota reżyserska, doskonałe „zgranie” się całego zespołu w tej trudnej sztuce — oto zasadnicze walory tego przedstawienia. To drugi przykład poszukiwań artystycznych uwieńczonej pełnym sukcesem i dowód, że także i w teatrze amatorskim opłaca się ryzyko i ambicje. Jak nas później poinformowano, była to pierwsza premiera teatralna zespołu istniejącego dopiero od niedawna. Tym większy to więc sukces i tym bardziej zasługujący na uznanie.

Inna propozycja teatru amatorskiego zaprezentował nam zespół Klubu Fabrycznego ZPB im. Armii Ludowej także z Łodzi. Wystąpił on operze komiczną Karola Kurpińskiego „Zamek na Czorsztynie”. Spektakl wyreżyserowano bardzo starannie;

W eliminacjach centralnych w Mielcu i Stalowej Woli brało udział 19 zespołów z całego kraju. Nie wszystkie spektakle jednak mogły stanowić wzorce dla kierunków pracy artystycznej teatrów amatorskich. Przeciwnie poprawne przedstawienie „Niemców” Kruczkowskiego dał zespół ZDK Fabryki Samochodów Ciężarowych w Starachowicach. Był to spektakl dość konwencjonalny, trochę statyczny i niezbyt wyrównany aktorsko. Nie udało się „Ktoś nowy” Marika Domańskiego w wykonaniu amatorów z płockiej Petrochemii. Złe obsadzona główna rola, dość nieudolne aktorstwo i brak mocnej ręki reżyserskiej w sumie właściwie „położyły” sztukę, która zresztą nie odznacza się szczególnie wybitnymi walorami literackimi.

Nie mam zresztą zamiaru w ramach tego komentarza omawiać wszystkich przedstawień przeglądu. Trzeba natomiast stwierdzić, że przegląd na ogół dobrze świadczy o poziomie i ambicjach amatorskiego ruchu teatralnego u związkowców. Takie nazwiska w repertuarze, jak Mrozek, Kruczkowski, Skowroński, Bratny, Szaniawski, Andrzejewski i Grochowiak dobrze świadczą o zaangażowaniu zespołów w problematykę współczesności i o ambicjach artystycznych teatrów. Niewątpliwie duży wpływ na ten stan rzeczy ma zarówno teatr TV, jak i teatry zawodowe. Równocześnie trzeba sobie zdać sprawę z faktu, iż nie ma jeszcze zbyt dużych możliwości wyboru repertuaru. Za mało wydaje się współczesnej literatury dramatycznej i chyba niewiele więcej pisze. O ile jednak do teatrów zawodowych przechodzą sami autorzy ze swymi utworami, zespoły amatorskie są w sytuacji o wiele gorszej, gdyż mogą korzystać jedynie z książkowych wydań sztuk.

Szczególnie cennym zjawiskiem w teatrze amatorskim są próby poszukiwań nowych form, próby wyrwania się z zastarzałych konwencji prowadzących do uwiadu i skostnienia scen ohochnicznych. Zaczyna tu również docierać teatr metafory, skrótu myślowego, zyskuje sobie prawo obywatelstwa parabola i nowa mury plastyczna w scenografii. Fakt, iż jury właśnie te poszukujące zespoły najwyżej oceniło i przyznało dwie I nagrody zespołom ze Stalowej Woli i Łodzi świadczy o potrzebie odnowy w teatrze amatorskim i istnieniu zielonego światła dla takiej drogi.

Natomiast sporo niepokoju budzi w wielu spektaklach brak troski o piękno, czystość i poprawność języka. Wielu amatorów ma złą dykcję, niechlujną, niedbałą wymowę, źle ustawiony głos. Spotyka się również jeszcze zbyt często skłonności do przesadnej dramatyzacji słowa i gestu, do przesadnej teatralności. Ponadto teatr jest syntezą wielu sztuk (słowo, obraz, ruch, aktorstwo, dźwięk) tego rodzaju niedostatki obniżają zasadniczo duży skądinąd wysiłek amatorów. Warto więc tym sprawom poświęcić więcej uwagi w szkoleniu instruktorów zespołów amatorskich.

Można by wiele jeszcze ponarząkać, wiele braków wytknąć, ale jakim prawem? Łatwo krytykować teatr amatorski, trudniej go robić. Wiemy wszyscy, ile czasu i poświęceń wymaga od bezinteresownych wielbicieli Meipomony ta ciężka praca. Na szczęście ludzi żarzących piękną pasją teatru, jak wyniki przebiegu wielkiej imprezy związkowców, jest u nas coraz więcej, a to budzi optymizm. J.G.

Maria Molenda

W rocznicę wyzwolenia Warszawy

Bo jest nad Wisłą
takie polskie miasto,
co wolą całego narodu wzniesione,
zamknęło w swych murach
czas walki, krwi, śmierci.
Przeżyło samo siebie
i z martwych
pozostało.

Więc teraz —
gdy Nike spełnia Twój symbol,
a montuszkowski mazur grzmi
w Teatrze Wielkim —

Warszawo!
W rocznicę Twego wyzwolenia —
za wyzwolenie walczących —
wznies toast!

Warunki spłaty długu

(Ciąg dalszy ze str. 1)

te warunki. Chodzi nie tylko o fundusze. Dla sfinansowania rozległej działalności potrzeba ponad 1,3 mln zł. W ub. roku budżet zamknął się kwotą 300 tys. zł, z których nie wykorzystano około 160 tys. zł. Obecnie Wydział Kultury Prezydium WRN przeznaczył 201 tys. zł, a więc wszystkie pieniądze, jakie posiada na finansowanie towarzystw regionalnych z wyjątkiem przemysłowego. Suma ta jest niewystarczająca biorąc pod uwagę wielokrotny zakres działalności; podobno Towarzystwo otrzyma dodatkową subwencję z nadwyżki budżetowej. Po rozwinięciu pracy Towarzystwo wystąpi — poprzez Wydział Kultury Prez. WRN — do Ministerstwa Finansów o zwiększenie dotacji, uzasadniając wniosek wydatnym zwiększeniem zakresu działalności. Inwestowanie w tego ro-

dzaju działalność jest jak najbardziej opłacalne.

Mówiąc o innych, poza środkami finansowymi, warunkach, mam na uwadze pomoc ze strony władz w określeniu miejsca Towarzystwa w całokształcie życia kulturalnego i gospodarczego Rzeszowszczyzny, a co za tym idzie — pomoc organizacyjną oraz programową; Towarzystwo orientując się na służenie praktyce musi znać potrzeby środowiska, jest także skłonne podejść do działalności o charakterze usługowym na rzecz władz czy też zainteresowanych instytucji lub przedsiębiorstw. Generalnie rzecz biorąc, chodzi o właściwe wykorzystanie potencjału intelektualnego Rzeszowa, który wzrasta wraz z rozwojem uczelni, a Towarzystwo jest jednym z ważniejszych kanałów łączących szkoły wyższe ze społeczeństwem.

ZDZISŁAW KOZIOL

Edmund Gajewski

TWARZE I BARWY

Co to właściwie jest? Zapas sentymentu, który rodzi się nigdy nie wiadomo dlaczego i kiedy! A może swoisty koloryt małego miasteczka, który skłania człowieka do powrotów. Można to i tak nazwać. Lubie poznawać małe miasteczka, badać ich tętno. No powiedzmy Ustrzyki! To miasteczko ma twarz i barwę. Może to szokujące, ale właśnie twarz — wiecznie ruchliwa, zmienna, wciąż piękniejsza. Barwę, w lecie soczystą, w zimie pastelową.



Władysław Dutkiewicz

Darujcie te plastyczne ciagotki, człowiek ułomny jest. Dzień krótki. Do komitetu partii wpadliśmy jak po ogień.

— Towarzysze — ludzie Bieszczadów — rozumiecie!

— Rozumieli! Czego się nie robi dla tych z województwa. W notesie lista nazwisk.

Zaczyna padać gęsty, wilgotny śnieg. Mijamy ostatnie zabudowania miasteczka, rozłożonego między bielą gór a szarym niebem, odciełym od świata czernią lasów.

A więc utartym szlakiem „ceprów” na Jureczkową. To prawda, to wieś — jak to się mówi — na pokaz. Ale ostatecznie już dawno uodporniłem się na atrakcje, które rezerwuje się dla wysoko postawionych gości i zbiorowych wycieczek, w ramach różnych kampanii. Nie ryzykuję.

Tu też Bieszczady! Niegdyś, a kto wie czy nie dziś, eldorado! Ziemia obiecana dla młodych i starych, ludzi z fantazją i sceptyków, energicznych i fajtlapów, pechowców i szczęśliwców, a dlaczego by nie dla cwaniaków? Bieszczady przeżyły swoją gorącą złotą. Nie mogła ona ominąć krainy taniej ziemi i wielkich perspektyw. Taka jest prawdziwość pewnych złożonych procesów. Toteż bawią mnie po trosze utyskiwania i biadolenia na inwazję różnych gorących głów, małych i dużych cwaniaków oraz inteligentów, których stratowało życie. Mimo woli rodzą się pytania: Od kiedy posiadanie dyplomu pozbawia człowieka życiowej szansy? Skąd ta pewność, że myślenie ma kolosalną przyszłość, a może to sprawa zaufania do ludzi, którego nigdy nie jest za dużo.

Pierwsze zabudowania, a droga pusta, człowieka nawet na lekarstwo. Dopiero na przystanku PKS kobieta z dwojgiem dzieci.

— Gdzie mieszka Bereżański?

— Panowie do męża, to pierwszy dom na lewo!

Dopędziła nas przed domem: — Dzieci odprowadziłam — po feriach wyjeżdżają do internatu w Ustrzykach.

W domu, przez sień do kuchni dostajemy się po desce. Sień świeżo betonowana.

Gospodarz zdusił papierosa, nie jest zaskoczony, przywykł.

— Czy jest pionierem?

— To zależy, co się kryje za tym pojęciem.

Była to relacja skąpa w słowa, bogata w treść: ma 38 lat, ukończył liceum ogólnokształcące i technikum ceramiczne. W Katowicach studiował na wyższej uczelni ekonomie. We Wrocławiu pracował w zakładach materiałów ogniotrwałych. W Jureczkowej osiadł w 1961 roku, zaciągnął pożyczkę jak inni, kupił ziemię i zaczął gospodarować.

Gospodarować... Dobrymi chęciami piękno jest wymurowane. I było piękno. Nadludzki wysiłek, gorzki smak rozczarowania, a potem trzeba było zasiać do pustego stołu.

Nie było pierwszych zbiorów na-

wet ziemniaków — opowiada Bereżański — ziemia wyjąłowana, wypłukana przez opady, okres wegetacji krótki, czasem jeszcze do 20 kwietnia śnieg leży na polach. Teraz oprócz nawozów stosujemy duże ilości obornika. To jest konieczne tu w górach. Nie sadzimy ozimin na jesieni tylko zaorujemy pola.

Wpadliśmy do obory, bagatela 13 sztuk dorodnego bydła, w stajni dwa konie, zasobna stodoła, jest i mały traktor.

Można zrozumieć lub nie, co się złożyło na powodzenie tego nietypowego rolnika. Na pewno liczy się pot i chyba myślenie na przyszłość. W końcu wszystko można sprowadzić do jakiejś miłości.

Bniemy po śniegu, po głowie kołatają się niesforne myśli. Jakże często nas mieszcuchów opanowuje nieuchwytnie uczucie, osamotnienie. Sytuacja niezależna od nas samych. Dlatego nietrudno mi zrozumieć inteligentów z dyplomami i bez, stawiających na Bieszczady. Dajmy im szansę. Los wygrywa lub przegrywa zawsze człowiek — nie ja to wymyśliłem — „człowiek istota nieznaną”.

Do Wojtkowej przysłowiowe dwa kroki. Ale świat poddał się białemu szaleństwu. Wietrzyko wywija niesforne hołubce. Nim skończyłem wertować notes, taniec się skończył. Przejasniasz się. A więc bez oporu...

Katarzyna Bilik urodziła się na tej ziemi. Rzecz zwykła zapewne. Ziemia... to już prawie wysokie „c” — budzi tęsknoty i skojarzenia. „Winnica, co zrodziła grona gniewu”. Winnica, gdzie czas między świętami odmierzają trwoga i lęk.

Przecież to tu w leśnych ostępach bieszczadzkich, wśród gór chronili się niegdyś chłopcy pańszczyźniani przed „pańską sprawiedliwością”. Tu przywódcy „Beskidników” Wojciech Pamiętowski i Aleksy Dowbusz podrywali ich do walki przeciw krzywdzie. To ta ziemia wydała owoce gniewu — kiedy 15 tys. chłopów powstało przeciw nędzy i niesprawiedliwości. Na tej ziemi zgłiszcza i ruiny znaczący drogę działalności faszystowskich band UPA.

Miko jest w tym domu. Wykrochmalone białe firanki, świeża biel

Wrócili jak wielu w 1947 roku. Mieli pełne ręce roboty. Organizowano we wsi nowe życie. Praca wypełniała dzień od świtu do zmroku. Stare dzieje...

Do miasteczka wróciliśmy przed zmierzchem. W miejscowej kawiarence pijemy pół czarnej, lokal przytulny przy stolikach studenci i miejscowa młodzież.

— Patrz — trąca mnie kolega, dziewczęta wcale, wcale...

— Rzeczywiście urocze. Ta młodzież ma szlif. Nie znajduję lepszego określenia. Ostatecznie można mówić o stylu, mam na myśli nie tylko szatę co zdobi człowieka. Znamy przecież to zróżnicowane i barwne środowisko tak charakterystyczne dla miejscowości letniskowych i turystycznych.

Dzisiaj wieczorem dancing. Jak mówi mój przyjaciel, chętnie bym „pofilował”. Nici z tego, umówiliśmy się na jutro z gospodarzem powiatu. Niestety, przewodniczący Prezydium PRN w Ustrzykach jutro wyjeżdża. Zostaje nam dzisiaj wieczór.

Boy powiedziałaby — „już się tacy nie rodzą”.

Przed rozmową z tow. Dutkiewiczem miałem kilka koncepcji. Co z nich zostało? Kropka w kropkę to samo, co z trzema metodami wychowania dzieci pewnego mądrego kawalera przed ślubem. Po ślubie miał trójce dzieci i żadnej metody. Czuję się prawie jak ten mądry po ślubie.

Gospodarz powiatu z miejsca rąbnął mi nielichy wykładzik. Takie abc problemów powiatu, jego struktury ekonomicznej. Poglębiam więc swoją znajomość głównych kierunków rozwoju ustrzyckiego — zagadnień osadnictwa, leśnictwa i turystyki. Teraz już wiem dlaczego rolnicy, którzy osiedlili się w powiecie, gwizdali sobie na plany urbanistów i budowali domy w pobliżu rzek, a osadnicy pochodzący z miast podporządkowali się zarządzeniom. Wiem również, że w Zadzorzu, gdzie osiedlili się nierolnicy z 20 rodzin pozostało tylko 7. Bię się w pierś, ale nie zmieniam swojego stanowiska w sprawie lu-

700 tys. złotych. Gospodarz uchylił również rąbka tajemnicy kłopotów przedstawicieli władzy. Dowiedziałem się nawet, że władza też popełnia błędy...

Nasze czasy ukształtowały wielu ofiarnych działaczy i aktywnych ludzi. Czas ich potrzebuje. Nurtuje mnie jednak pewne pytanie: za sknieniem jakiej różdżki czarodziejskiej właśnie w powiecie ustrzyckim rodzi się niezwykły głód działania. Czy może ziemia łaskawsza tu dla człowieka, a może klimat? — Nie lekceważmy klimatu, on tworzy pasję życia!

Było dobrze po północy, gdy w Biurze Zakwaterowań „Połoniny” załatwiłem formalności noclegowe. Nad miasteczkiem mroczna noc, nieprzenikniona przez gwiazdy. Twarz uderza powietrze czyste jak błysk noża. Staję na mostku i patrzę w dół jak mróz zmagający warki nurt Strwiąża. Podobno jest to jedyna



Romuald Bereżański

rzeczka w kraju wpadająca do zlewiska Morza Czarnego. Zapisuję to również na konto Ustrzyk.

Czas już spać, jutro czeka nas pracowity dzień z dyrektorem Powiatowego Ośrodka STiW „Połoniny” W. Szawarą wyruszamy na turystyczny rekonesans do Czarnej i Lutowisk.

Brnę uliczką, która pnie się w górę i myślę o ludziach, których tu spotkałem. Nie przyjechałem tu, aby fabrykować bieszczadzkie bohaterów. Nie wierzę w typowych bohaterów. Postawicie takiemu za ży-



BIESZCZADY —

RYŚ. J. SIENKIEWICZ

ścian rozjaśniona odbłaskiem śniegu na polach, ciepło... i ta atmosfera. Siedzimy przy stole, gospodyni trochę z zażenowaniem mówi o sobie. Jest kierowniczką kina. Filmy zmienia się raz na tydzień, kino nie jest codziennie czynne. Ma się rozumieć, że pracuje społecznie.

Może słyssał pan jak wzniesiliśmy miejscową szkołę? To cała historia. Przenieśliśmy szkołę belka po belce z innej miejscowości, istniejącej tylko na starych mapach. Dzisiaj praca w kole gospodyń wiejskich, w komitecie budowy domu kultury, oto jej nadzieje, poezja dnia powszedniego co rozgrzewa serce.

W Wojtkowej jak wszędzie, gdzie życie dźwigało się z popiołów, człowiek jest bezsilny wobec naporu czasu przeszłego. To nie starych wspomnień czar ze sztabucha babuni. To był walc śmierci! W 1944 roku okolicę plądrowały bandy UPA. Mąż pani Bilikowej został żołnierzem Wojska Polskiego. Na rodzinie Bilików faszyci z UPA wydali wyrok śmierci. Trzeba było ratować życie ucieczką do Przemyśla.

dzi z dyplomami i bez. Ani na chwilę nie wątpiłem i nie wątpię, że inicjatywa spółdzielni „Las”, by wypalać węgiel drzewny w Bieszczadach, jest cenna. Znam sumy pożyczek, z jakich korzystali osadnicy od 1958 roku. Jestem pełen podziwu dla ludzi, którzy tak dużo wybudowali w czynnie społecznym i dziś wnoszą retransmisyjną stację telewizyjną w Ustrzykach kosztem

cia pomnik na gipsowym cokole, ktoś traci, zostaną skorupy...

Jeszcze jedno spożyczenie na uśpione miasteczko, w atramentowych barwach migotają świętańka naszym ognikom robaczek świętojańskich — Drga nowa twarz miasteczka.

A jednak twarze, to sprawa ludzi. Barwy, to rzecz przyrody!

60-lecie Stanisława Wygodzkiego

PISARZ KOMUNISTA

Jubileusz każdego pisarza skłania do przypomnienia jego twórczości, do zastanowienia się nad dziełami bliskimi czytelnikom, pomagającymi rozumieć świat, uczącymi wrażliwości na sprawy ludzi, kraju, narodu...

Jubileusz Stanisława Wygodzkiego daje do takiej zadumy okazję szczególną. Zawarł on bowiem w swej twórczości coś więcej niż doświadczenia, jakie są udziałem wszystkich Polaków urodzonych na początku naszego wieku: od pamięci patriotycznych uniesień i gorzkiej społecznej niesprawiedliwości lat międzywojennych, poprzez pamięć bohaterstwa i bólu, rozpaczy i nadziei lat wojny, aż do doświadczeń lat dzisiejszych — trudnych i radosnych, wzniosłych i powszednich lat socjalistycznego budownictwa.

Stanisław Wygodzki zawarł w swej twórczości pomnożone pisarskim talentem i sercem uczucia człowieka, który sprawę obywatela nie tylko zna; przeżył je własnym, osobistym bólem, rozpaczą, nadzieją. Zawarł w swej twórczości przede wszystkim pasję człowieka czynu, który nie — opisuje, lecz walczy, nie — analizuje uczucia, lecz kocha, cierpi i nienawidzi.

Bo w osobistej biografii Stanisława Wygodzkiego zawarte są tragiczne, bolesne i wzniosłe karty naszej najnowszej historii. Od więziennych przeżyć komunisty, od nielegalnej pracy w KPP, poprzez tragedię oświęcimskiej zagłady, aż po trudne poszukiwania i zwycięstwa lat ostatnich.

Stanisław Wygodzki — pisarz — jest przez całe swe życie jednocześnie działaczem i bojownikiem. Działaczem sprawy proletariatu i idei sprawiedliwości społecznej. Bojownikiem walki o ludzką godność, o zwycięstwo internacjonalizmu.

Usunięty ze szkoły na kilka miesięcy przed maturą za działalność komunistyczną, już jako osiemnastolenni młodzieniec skazany zostaje za to samo „przestępstwo” na więzienie. Po wyjściu z więzienia łączy pracę partyjną z pracą literacką i publicystyczną w „Miesięczniku Literackim”, „Nowej Kronice”, „Lewarze”, „Kulturze Mas”...

W okresie okupacji Stanisław Wygodzki aresztowany i wywieziony do Oświęcimia, a następnie do Oranienburga, Sachsenhausen i Dachau — przeszedł najtrudniejszą, najtragiczniejszą drogę okupacyjnych doświadczeń. Po powrocie do wyzwolonego kraju oddaje się w pełni pracy pisarskiej.

W twórczości Stanisława Wygodzkiego — w jego poezji, przede wszystkim w dominującej od kilkunastu lat twórczości prozatorskiej, jak również w działalności publicystycznej — dominują w zasadzie dwa nurty: nurt rewolucyjnych doświadczeń, partyjnej ideologii i pracy oraz nurt wojennej martyrologii.

A przecież w gruncie rzeczy obydwie te nurty przepływają się nawzajem. I w opowiadaniach, i w powieściach na tematy przedwojenne, okupacyjne i powojenne: i w „Basach”, i w „Nauczycielu tańca”, i w „Koncercie Zyczeń”, i w „Dzielnicy głównym”, i we wszystkich wierszach, i nowelach Stanisława Wygodzkiego sprawą główną, sprawą, o którą chodzi przede wszystkim — jest troska o ludzką godność, o siłę, odporność i czystość moralną człowieka.

W sześćdziesięciolecie urodzin Stanisława Wygodzkiego życzymy nie tylko Jemu — życzymy także, a może przede wszystkim nam — czytelnikom, wielu jeszcze tomów żarliwej, serdecznej prozy i poezji zrodzonej z pasji, uczuć i wrażliwości pisarza, który kocha ludzi i umie o ich dobro walczyć. SG

12 rzeszowskich zespołów wystąpi w Radomiu

Zespół Oświaty i Upowszechnienia Kultury Centralnej Rady Związków Zawodowych zawiadomił ostatnio WKZZ w Rzeszowie, że w ogólnopolskim przeglądzie zespołów tanecznych, chórów i kapel ludowych weźmie udział 12 zespołów i jeden solista z terenu naszego województwa.

W przeglądzie, który odbędzie się w dniach 25 i 26 lutego br. w Radomiu wezmą udział zespoły: kapela i zespół taneczny Fabryki Obuwia Sportowego w Krośnie, kapela ZDK Zakładów Tworzyw Sztucznych w Pustkowie, zespół tańca towarzyskiego i zespół taneczny ZZK z Rzeszowa, zespół taneczny i chórny

ZDK Huty „Stalowa Wola”, kapela i zespół taneczny ZDK WSK Mielec, zespół tańca towarzyskiego ZDK WSK w Rzeszowie, zespół taneczny „Niegłowice” z Rafinerii Nafty w Jaśle oraz zespół regionalny DK „Górnik — Naftowca” w Krośnie. W Radomiu wystąpi również solista (cymbał) — Antoni Kleczyński z PGR Bachórz w pow. Brzozów.

Warto podkreślić, że reprezentacja Rzeszowszczyzny w tym przeglądzie jest bardzo silna, biorąc pod uwagę, że do eliminacji w skali krajowej zakwalifikowano 33 zespoły.

(stanski)

W Dudach, oczywista, Dudy; postronnych nieucielu i malo który sie liczy.

Jeden Nowak: mieli go prawie za swego, choc przeciez najwyrazniej - Nowak. Ale po sasiedzku wsie, gdzie znowu Nowak na Nowaku; nazwisko rowne Dudom. Nadto - ten Nowak nie z poslednich, z rzadkim fachem w reku: trudnił sie robotnictwem niestworzonych rzeczy.

Z poczatku mieli mu to troche za zle (ale, ze Nowak, za zle tez mieli z szacunkiem) - glownie z poduszczania proboszcza, który w nowakowej robocie wietrzył obrazę. Co Pan Bóg za stuzne uznal, kazal z ambony, stworzyć racyl sam; co niepotrzebne, ostawil niestworzone; nie ma tedy zadnej potrzeby, by zuchwalcy dopełniali jego dzieła. Słowo mocne; Nowak miał je sobie za nic, robil swoje, jak to mu widac przykaziwala natura i rodowe imię. Dudy obchodzili go wielkim koleim; aż raptem wzięli sobie za nic księże wspominki.

Doszlo do tego takim sposobem:

Z Nowakiem sasiedował Niby-Duda, którego przewzano tak, bo byl Dudą z nieprawego łosa - jego matka z domu byla nie Dudzianka, ale Kośmidrzanka. Z tej przyczyny nie musiał Niby-Duda specjalnie oglądać się na innych, mógł nie zważać na dasy Dudów i żyć z Nowakiem po dobrosasiedzku, chadzac czasami na wieczorne gadki i kwaterek niestworzonej gorzalki. Nowak, wdzięczny, że sasied nie odstąpił go w zły czas, darował Wojtkowi, najstarszemu Niby-Dudy, niestworzony bibelotek, gulguliere. Młody Niby-Duda przywiązał się do niestworka i kiedy wzięli go w rekruty, nie zdał podarku w swoim czasie. Cackał się z tym w chwilach wolnych a nawet w czasie służby; przyłapał go unteroficer.

- Was ist das? - zapytał.

- Gulguliera - rzekł Wojtek Niby-Duda smutnie.

- Do czego to jest? - zapytał unter; młody Niby-Duda nie wiedział. Unter pokazał niestworka leutenantowi, ale i ten nie miał pojęcia. Co dzialo się dalej, nie ma potrzeby opowiadać, historia jest powszechnie znana. W każdym razie admirał, rzucający do morza gulguliere, by wtedy dopiero przekonać się, że niestworka ta służyła właśnie do wydawania odgłosów gul-gul-gul w trakcie zanurzania się w wodzie, dobrze przystąpił się Nowakowi z Dudów. Fama poszła po świecie i do wsi poczęli ciągnąć kolekcjonerzy niestworzonych rzeczy; za byle niestworzonko mógł teraz Duda brać taki pieniądz, jaki mu się podobało - i jak mu się podobało, brał taki pieniądz. Bogacieli w oczach i Dudy poczęli nosić go pod niebiosami. Proboszcza sobie wyperswadowali, ten Nowak, mówili, z cesarsko-królewskich (fakt faktem - w metrykach pisal się przez chude v); cudzoziemiec, może sobie poczynąć

MARIAN PILOT SUPERNOWAK albo SADNA MASZYNA

wedle swojej woli. Nowak uśmiechał się obojętnie, akurat na wiele mogli mu się teraz zdać Dudy. Dłubał sobie pomalutku swoje niestworki, co raz prezentował jakieś nowe, bardziej jeszcze zdumiewające i bardziej nie stworzone. Niektóre z nich zostawiał bez nazwy, innym dawał imiona, tak samo zresztą nie stworzone. Wymyślił więc na przykład goguśnik, niestworka, zmaistrowanego z odrobiny pozłoty z drogiego cygara, kawałka miedzianego drutu, wygiętego na podobieństwo prawosławnej carskiej lityry, dwu matych skrawków tęczowego perliczego pióra i kropelki czystej okowity. Goguśnik, jak nazwa mówi, służył do goguśnienia, już po chwili patrzenia czuło się w ciele nieopisaną goguśność, jedynym miłą, drugim całkiem nie; któryś z Dudów powiedział, że to coś jakby moralna gładwa, ale że nie to, dodał po namyśle, machnął ręką. Ow Duda niegdys mocno szczuł na Nowaka, może więc wynalazca tak skonstruował niestworkę, żeby na niego właśnie dzialala niby-gładwie; inni bowiem o goguśnieniu mawiali jak najlepiej.

Inna znouu nowakowa niestworka nazwana: POTWOR NA CZTERY BABY, wielkimi literami. Tu najbardziej bylo się czemu dziwować, bo na oko ta niestworka jakby nic: ani material, ani forma, co by holubita oko Pawła, prawie rzecz by można, nie: wypchana z jednej strony wysuszonymi listkami czabru tulejka miedziana; z drugiej jej strony przylutowany druk, z przyczepionym kartonikiem w barwach pruskich i napisem pośrodku: Cashmilon. Razem ledwie co, kto niewierny, pewnie chciałby roześmiać się na taki widok: a sam czort wie, jaka to potężna niestworka. Było nie było - potwór i to taki, który może mieć stosunek jakiś aż do czterech bab za jednym zamachem, Dudy wiedzieli, że Nowak nie zwykł żartować w kwestiach niestworzonych. Gapił się na POTWORA z ciężkim namysłem i na wszelki wypadek poczęli wzbraniać swoim babom bywania u Nowaka. Kto dociecze, jakie historie niestworkone mogłyby im się przydarzyć za przyczyną owego POTWORA. Na szczęście po jakimś czasie nawinął się miejski hobbysta i za ciężkie pieniądze kupił niestworkę. Dudom odtąd lżej.

Nawykli już do goszczenia u Nowaka; chadzali do jego chaty, jak w w mieście chadza się do zoologu.

Bo też było się na co gapić w jego izbach, od podłóg do powały zawalonych różnościami. Jedne z owych rzeczy nowe, w innych zetlala już ich rzeczowość, został ledwie cień przedmiotów, wieloznaczny, chwytliwy. Ogromnej trzeba bylo fantazji, by umieć choć rozoznać się w gąszczu nagromadzonych tu rzeczy, leżących, stojących, wiszących, spletananych z sobą po wielokroć. W tej kotłownianie krzątał się stary Nowak (z dawien dawna stary; zjawil się w Dudach już stary); ruszał się pomalutku, niedbale, beztroško jakby: a wszystkie przedmioty podporządkowały się jego długim, chwytliwym palcom, stosowały się do jego zamysłów, wchodziły w takie wzajemne związki, jakie on był sobie zamierzył. Druty, sznurki, blaszki, zelastwa, drewnienka, listki skorupki, kołki, flaszki, koszyki trwały w pustym oczekiwaniu swych przeznaczeń i bezbłędnej swojej godziny, którą wyznaczał stary. Trwał w plataninie tego rumowiska jak pajak-samodzierca w sieci; cokolwiek wpadlo mu w ręce przenizywał mocną dratwą swojego pomysłu. Inny człowiek, pobytwszy w izbie dłużej poczynił się pomalutku czuć nadwerżony jakby, niedowarzony, nieoskrobany, nieosolony - słowem jednym na koniec - niestworzony; niektórym już po paru minutach robił się w głowie h u k jak po kwaterece okowity. Różni próbowali określać to jako czezość, lotność, górnotłność, ale w końcu machali ręką: bo to nie mogło być to, tamto czy owo, to była po prostu niestworzonosc. Jednym to nie podchodziło, inni znouu pchali się do nowakowych izb jak do karczmy. Znouuż kto co lubi.

Nowak tymczasem, po tak znakomitej admirałskiej publicyty i grubych markach za niestworkone byle co poczęł się szanować; od jakiegoś czasu nie majstrował już niestworów tak sobie tylko, do wiuatu. Chadzal często po lesie, ale grzybów nie zbierał, dumał. Kupil sobie w mieście psa, wielkiego jak półroczne ciele wilczura, wiazal na łańcuchu przy wejściu do chaty: nie znosi, mówił, jak byle kto, byle kiedy

przychodzi i pcha nos w każdy kąt, przysiadując przy tym głupawo...

- Widzicie - tłumaczył ważnym Dudom, z których nijeden prawie natogowo przychodził do niego na kropelkę niestworzonosci - nie jestem ja już taki młody, jakby to moglo się niektórym zdawać. Robię w swoim fachu od dziecka i dopiero na starość doszedłem do czegoś. Ale mam swoje lata i nie daj Bóg, każdej chwili może być ze mną źle. I co po mnie? Gulguliera? To przeciez nic innego, jak tylko taki sobie niestworzony wic. Kim ja najwyżej mógłbym zostać w pamięci ludzkiej? Niestworzonym cyrkusnikiem? Nigdy w świecie z czymś takim ja się nie pogodzę. Ludzie muszą mnie pamiętać. Dobrze muszą sobie popamiętać, takie jest moje słowo... - błyskał okiem zgroźnie, posepnie.

Słowem, uradził sobie Nowak skonstruować arcydzieło niestworzonosci. Zrobił się z niego większy jeszcze samoludek; nie jawil się na świat boży przez długie czasy, by potem któregoś dnia nagle zrywać Niby-Dudę skoro świt. Jechali do miasta. Niby-Duda zostawał przy rogatkach, zadawał koniom obrok, siadał na koźle i drzemał; Nowak tymczasem hulał po mieście. Natykali się czasem na niego Dudy w aptece, gdzie do upadłego użerał się z magistrem o jakie specyfikki, w

składzie żelaznym, gdzie sam sobie wyszukiwał na półkach jakieś blaszki - a nawet u Żyda, w galanterijnym. Z pakunkami uracał Nowak na rogatki, Niby-Duda galopem pędził z powrotem do wsi. Nowak chował się w swojej chacie, zamykał na spusty; z komina poczynały walić takie dymy, że komendant Feuerwe-reinu, chciał - nie chciał, musiał częściej urządzić ćwiczenia, bo od takiego czaregiego palenia w piecach jak nie moglo się gdzie zażarzyć. Niby-Duda chodzil w ustawicznym strachu, obraz Matki Boskiej zdjął ze ściany i trzymał w sieniach, żeby móc prędko zażegnać ogień: z komina Nowaka dymy waliły gęste, skrzzące się mocno, jak z cegielni.

Trwało tak dopóty, dopóki znouu Nowak nie budził Niby-Dudy ran-nym świtkiem: jeden dzień był spokojny, następnego zaczynało się od nowa. Bywało, że dzialo się coś bez dymu i ognia; ale i wtedy wilczur nie dopuszczał nikogo pod drzwi, za którymi Nowak dumał nad swoją arcytworą. Kolekcjonerzy odchodzili z kwitkiem, bez najmniejszego niestworka w garści; pojawiali się też coraz rzadziej i Dudy byli źli, bo nie było już zarobków za furmanki na Bahnhof. Niektórzy na wet judzili Dudę-Perzyka, żeby obłożył Nowaka grzywną za nieodrobioną szarwark. Soltys jednak pokrobał się po głowie i przychylił



RYŚ. J. SIENKIEWICZ

CYCYLIA BŁONSKA JEST TAKI BAL

„A więc żebyśmy się tutaj znouu zebrałi za rok, w tym samym gronie, na tej samej sali i o rok młodszy! Orkiestra zagrzębiała tuse i zagrała „sto lat”. Zrobił się wesoly rumor, wszyscy powstali z miejsc, podjęli pieśń, a potem siadając z powrotem przy starannie nakrytych stołach komentowali z zadowoleniem: no, no, to by było całkiem dobre...”

W bocznych pomieszczeniach uwijały się wytrawne gospodynie, z wypiekami na twarzy, przepasane fartuskami, parząc herbatę, szyczące stannie coraz to nowe półmiesieczki kanapek, krając ciasto, przepedzając dzieciarnię nie tak skora znouu do wyreki, jak to obiecywała w domu, garnąc się, by i ja zabrano na bal. Bo rzeczywiście, taki bal jest jedyny w Rzeszowie. Nie dlatego bynajmniej, że zaczyna się już o godz. 5 po południu, a jego uczestnicy zjawiają się punktualnie, nie odcekując tradycyjnych we wielkim świecie 2 godzin, by próbować później tzw. efektownego wejścia. Gdy jego uczestników będzie wital członek Komitetu Pomocy Społecznej, wymieni jubilatów, ludzi 86-89-letnich. A że co doniero tańczyli tanگو i odpoczywają niezmiernie dumni ze swej karnawałowej sprawności, podkreśli ich dobra formę, będzie życzył im zdrowia na dalsze lata. I już na roboczo wymieni spory zespół ludzi, który bezinteresownie, bez

żadnego bynajmniej przymusu oddają swój trud, by ta doroczna zabawa dojsć mogła do skutku: więc cały zespół Komitetu Pomocy Społecznej, Komisji Przyjaciół Starego Człowieka z jej przewodniczącą, Zarząd Związku Rencistów, Miejski i Powiatowy Wydział Pracy i Opieki Społecznej, energiczne, ofiarne Koło Komitetu Pomocy Społecznej ze Staroniwy, młode zarumienione od kilkunastogodzinnej biegania dziewczęta, siedziwie niewiasty z podmiejskiej dzielnicy niezmordowanie usługujące innym, członkowie ZBoWiD-u, Wydział Kultury MRN i PRN, który zmobilizował miły i popularny Zespół Pieśni i Tańca ze Słociny. Można by jeszcze wymieniać i wymieniać, lecz konieczność już trzeba pochwalić Rzeszowskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego, że nie tylko tradycyjnie już uzcza sali i jak pięknie udekorowane, jak ciepłe, że stawia do dyspozycji całe zaplecze (bez owych gderliwych, przesadnie troskliwych „gospodarzy” krepujących gości).

- Pytają nas nieraz, kto wy właściwie jesteście, gdzie przychodzimy do instytucji z propozycją, by włączyła się do naszych akcji.
- Przez kilka lat z rzędu odnosiliśmy się do wielkiej fabryki.
- I?
- Raz w przeciągu 2 lat dali nam w końcu 5 tys. zł. To chyba nie za du-

żo. Chociaż oni też mają swoich rencistów, którymi się opiekują. Ale i u nas dzisiaj uczestniczą w imprezie ich dawni pracownicy.

- Duże uznanie dla Banku SOP. Oni rzeczywiście nas wspierają.
- No a Fabryka Sprzętu Gospodarskiego, jak tam wspaniale poszła zbiórka!

Orkiestra ze Staroniwy gra ochotczo. Nie markierują, nie robią długich przerw, nie krzepią się co 5 minut pozywnym posiłkiem. Właśnie zainicjowali wspólne śpiewanie z niewymyślnym wprawdzie, ale łatwym do powtórzenia refrenem i sala rozbrzmiewa wesolą piosenką, gdy tak rozmawiamy półgosem, zaabsorbowani nie tyle karnawałowym wieczorem, ile nieuchronną zimą, od której odgradzają nas teraz przesłonięte balową dekoracją okna, ale która sroży się na polu w styczniowy wieczór.

Wnieosiono paczki noworoczne, starannie owinięte w polyskliwy celofan i radość obdarowanych jest bezsporna. Ci ludzie o twarzach pobrudzonych, mówią bez żadnego patosu, też reprezentują kawał historii nowego Rzeszowa.

Gdy rozpoczynaliśmy prace przed dwudziestoma kilkoma laty, oni byli jeszcze w pełni sił, na rozmaitych stanowiskach, wyższych, zwyczajnych, całkiem prostych.

Ten czysteitko ubrany postawny mężczyzna, który siedzi milcząco, niewesoly przez cały wieczór, był pierwszym, który na rzeszowskim dworcu kolejowym pomagał podróżnym, zjeżdżającym do miasta zaraz po wyzwoleniu. Wychylając się z marnych zdelowanych wagonów, na jego widok wolałiśmy wesolo: bagażowy! wydałoby się nam to jakimś widomym znakiem przywróconego pokoju, stabilizacji, zapowiedzią wykład, których jakże spragnieni byliśmy po wielkich trudach wojennych lat. Ile rozmaitych kuferków, prymitywnych pakunków przeniosł na swych barkach, a jak często pasażer nie miał nawet złołówki, by wynagrodzić go za ten trud. Pewnego razu kobiecie, która wzdragała się przed przyjęciem jego pomocy, chociaż miała ciężki kosz, tłumaczył, że nie ma pieniędzy, powiedział po prostu: ależ teraz wszystko się dopiero zaczyna. Pani mi to kiedyś zwró-

ci, zostajemy w tym samym mieście. Siedząc przy pięknie udekorowanym stole, w ów niezwykle karnawałowy wieczór, przypomniałiśmy mu tę sytuację, zbyt nieważną, by znalazła się w oficjalnej kronice tamtych dni, ale na pewno godną pamiętania. Z szumem kostiumów, w blasku cekinów i klipsów, zespół ze Słociny zajął całą estradę, a młodziutki konferansjer czy też kierownik zapowiadając, śpiewając, grając na akordeonie istotnie dwolił się i troił, by sprostać zadaniu, bo jak zapewnił, czuje się ogromnie zaszczycony, że do uświetnienia tej zabawy słociniński zespół może się przy-czylić.

- Tam w Słocinie też powstaje Koło Komitetu Pomocy Społecznej - informował tymczasem tow. Płaksiak. Powoli odsuwano stoły, łamiąc ich paradny szyk, wraz z krzesłami przesuwanio się bliżej ścian, otaczano noworoczną choinkę. Bo muzykanci ze Staroniwy, po wianauce żołnierskich piosenek, zaczęli także wygrywać walce, że naprawdę mało kto wytrzymał, by usiedzieć na miejscu. Na widocznym z wszystkich stron podniesieniu, dziewczęta twisowały śmiało i ostro. Po chwili energiczny starszy pan, który dawno ma już za sobą 80 urodziny, wśród wykłintnych ukłódów poprowadził do tańca wiotką i młodzieńca pracownice Miejskiego Biura Architektury, „w cywilu” filar społecznej akcji.

- Z nim to naprawdę trzeba umieć tańczyć - zauważyła moja sąsiadka. No bo rzeczywiście tańczył z figurami, przyklekał, partnerka z wdziękiem krążyła wokół niego, nie dając się bynajmniej zaskoczyć wymyślnym wariantom z „Nad pięknym, modrym Dunajem”. Twisujące dziewczęta włączyły się w kółeczko. Z kolei mężczyzna w sile wieku, z mnóstwem wysokich odnaczań w klapie, przyprowadził do tego walującego krezu stateczna tanecznicę i w takt orkiestry coraz większe koło wirowało sprawnie i wesolo, przy czym ów jubilat wyraźnie niepomny swej zaawansowanej metryki, ciągle nadawał ton temu tancowi, którego nie powstydziłby się najelegantszy bal.

Jak pięknie bawi się tam r o d z i n a c z ł o w i e c z a, jak taki wie-

czór harmonijnie łączy kilka pokoleń - myślałam idąc opustoszałym miastem. A im, czy będzie wesolo i rżanie, czy przeciwnie jeszcze bardziej smutno, gdy z tego ograniczonego ludzkiego zyciowości wnętrza, z ta rozkwitła i jarząca się czerwienią róża nad wejściem do balowej sali, z tego karnawału wcześniej urodzonych wródo do swoich domostw, mieszkań, ubogich izdebek? To wielki społeczny problem, którego na pewno nie da się zatkać jedynym udanym tanecznym wieczorkiem, aczkolwiek jego wagę znakomicie rozumieją społecznicy z Kolbuszowej, Strzyżowa, Sokołowa, Mielca, Stalowej Woli, z dziesiątek innych miejscowości, gdzie zatroszczono się o takie spotkania starych ludzi z Nowym Rokiem.

Pięknie, górnje, poetycko o tym nieuchronnym przechodzeniu od wieku młodzieńczego ku starości mówił Jarosław Iwaszkiewicz na Kongresie Kultury. A co dopiero odbyta ogólnopolska konferencja poświęcona społeczno - ekonomicznym skutkom wyżu demograficznego jasno stwierdziła, że „w niedalekiej przyszłości nastąpi przyrost ludzi starych (z 2,9 w 1965 r. do 4,5 mln w 1985 r.), co pociąga za sobą konieczność rozszerzenia opieki zdrowotnej i pomocy społecznej”.

Nie wiem, dlaczego przypomniał mi się niedawno zastyszane słowa: - żeby pani wiedziała, ile uzyskujemy środków z dobrowolnej dopłaty do rachunków za elektryczność. Z tych pieniędzy także możemy dużo zdziałać.

Śniegowe chmury całkiem przykryły niebo. Gdzieś z rżesieście oświetlonego mieszkania, gdzie pewnie prywatka nie rozkreciła się jeszcze na dobre i statecznie słuchano płyt, na pustą zimną i smutną ulicę upadły piękny, lirycznym tenorem śpiewane słowa -

- Nie zdejmiesz z nieba gwiazd.

Na próżno. I tym znaczkim z rachunku za elektryczność nie zdejmiesz nieba gwiazd dla tych, którym mową pora zwłaszcza pomoc jest potrzebna. Ale czasem wystarczy choćby rozniecić maluteńkie, nikłe, cienie światła. Tu, Na tej ziemi.

się do zdania tych Dudów, którzy radzili poczekać, aż Nowak zmastruje największą swoją niestworę, to będzie ale. Każdy Duda po trzy marki w dzień zarobi na furmanieniu, tyle zleci się kupców.

Pewnego dnia wreszcie Nowak przez Niby-Dudę zaprosił do siebie ważnych Dudów; ucieżeni, zbiegli się prędko, niejedni nawet z flaszką za pazuchą. Nowak czekał ich pośrodku izby, poważny i uroczysty jak nigdy. Miał na sobie czarne, ślubne pewnie jeszcze ubranie; każdemu z Dudów podał rękę, ścisnął mocno, gościł bardziej jeszcze poculi się zaszczytami.

— Cieszę się, że was widzę — rzekł. — Dzisiaj wielkie moje święto, iadnie to, że tyłu was się zeszło. — Dudy zamruczeli uradowani, a Nowak odwrócił się i począł ściągając worek po cukrze z czegoś, co stało pod piecem. Rzucił worek na ziemię i Dudy mogli sobie nareszcie obejrzeć Arcyniestworę. Zbliżyli się nieśmiało.

Tym razem Nowakowe dzieło było nad podziw duże i masywne. Niestworę składała się z trzech zasadniczych części: wielkiego kociołka do gotowania białizny, maszyny do szycia Singera i najnowszego typu maszyny do pisania marki Adler nr 3. Niektórym Dudom zrobiło się trochę żal, szczególnie na widok maszyny do szycia, wpełchniętej do połowy w kociołek: baby wiele by dały za taką maszynę; ale zastawili się prędko, bo przypomnieli sobie, że tu idzie o sprawy ważniejsze niż tanie portki i w wielkim podziwie przyglądali się dalej. Na niestworę bowiem, prócz zasadniczych, od razu rzucających się w oczy części, składało się wiele jeszcze drobnych i całkiem drobiazgowych rzeczy. Było na co patrzeć. Dudu gapili się i opili, nie śmieli się odezwać słówkiem. Nowak uśmiechnął się pod wąsem.

— To jest — rzekł nareszcie — to, o czym długi czas myślałem. To nie takie sobie byle co, powiem ja wam

zaraz. To jest super-niestworę, a ja, który ją zmastrowałem, nie jestem już byle Nowak, ale Nowak nad Nowaki, a też i nad Dudy: Super-Nowak. To ja wam mówię i wcale się nie wstydzę, bo nie mam czego. Ten niestworzony przyrząd nazwałem Sądą Machiną. Teraz nie już mi niestraszne; po mojej śmierci ta maszyna dokona swego: wszystko stanie się niestworzone. Jest okazja: pijcie chłopcy — i wytoczył na środek beczulkę okowity.

Dudy, oszołomieni, poskrobali się po głowach, ale doszli tylko do tego wniosku, że przy kieliszku może im co przyjść do głowy. Wypili więc po jednym, zrobili sobie smak, tyknęli raz jeszcze i poleciano: hulali prawie do jasnego świtku. Rano dopiero w wielkiej głątwe zaczęli dumać nad słowem Nowaka i włosy stanęły im na głowie; od razu poszli do starego kobiety, by go nakarmiły i napiły, zatroskały się o jego zdrowie...

Nowak, czy, jak zwał się sam, Super-Nowak, zarzucił odąd swój fach; gadał, że i tak nie wymyślił nic lepszego nad Sądą Machiną; a prócz tego stary już jest i czas mu na wycug.

Siedzi więc w chatupie i ma się dobrze, bo wszystkie Dudziny dogadają mu jak umieją; niech mu strzyknę w krzyżach przesiedzą przy nim całą noc, kiedy zabolą go kaidun wolażą doktora, czasem nawet drogiego specjalistę z Poznania. Niektóry Duda przemysłowa, czy by nie donieść o sprawie landratowi, ale czy to taki Prusak wyrozumieć? Zgniewa się pewnie tylko, że przychodzi się do niego z takimi historiami niestworzonymi i nawet będzie miał swoją rację. Dudy więc, radzi nie radzi, sami troskają się o dziada i z trwożą myślą, co będzie. Bo ile to jeszcze tak może potrwąć, ile? Kto w dzisiejszych czasach ma końskie zdrowie? Pewnie nawet Super-Nowak nie. Zie więc Dudom; a i to, do czasu, do czasu, tylko: póki nie będzie gorzej.

3 minuty rozmowy

O klubie filmowym „RZECH”

Klub Filmowy „Rzech”, działający przy ZDK WSK w Rzeszowie, obchodził jubileusz 10-lecia działalności. Z tej też okazji o trzy minuty rozmowy, proszę przewodniczącego klubu inż. Bronisława Durę.

— Jaki jest dorobek waszego dziesięciolecia?

— W okresie 10-lecia zrealizowaliśmy 15 filmów krótkometrażowych o różnej tematyce, jak np. filmy techniczne, dokumentalne i krajoznawcze.

— Ile członków liczy wasz klub?

— W tej chwili 12 czynnych członków. Prócz tego grono sympatyków.

— A kłopoty i trudności?

— Tych nigdzie nie brakuje. Największy kłopot, to brak aparatury do udźwiękowienia filmów.

— Wobec tego warto chyba zapelować do kierownictwa ZDK i Rady Zakładowej WSK o znalezienie funduszy na zakup tej aparatury, która jest przecież nieodzownym elementem przy realizacji filmów!

— Oby ten apel poskutkował!

— Czy uczestniczyliście w konkursach filmowych?

— Oczywiście. Cztery nasze filmy wystąpiły na konkursy organizowane przez CRZZ i Federację Amatorskich Klubów Filmowych.

— Z jakimi efektami?

— W 1963 r. na konkursie w Gdańsku naszemu filmowi „Przyrządy składowe” przyznano pierwszą nagrodę. Natomiast film „Słoneczne dni” — jest to reportaż z kolonii letniej dzieci pracowników WSK — otrzymał nagrodę drugą.

— I jeszcze jedno pytanie: wasze zamierzenia na następne dziesięciolecie?

— Trudno mówić o dziesięcioleciu. Mówmy raczej o najbliższej przyszłości. Obecnie pracujemy nad scenariuszem filmu technicznego oraz przystępujemy do realizacji filmu o działalności naszego Zakładowego Domu Kultury.

M. G.

(J. W.)



O programie czwartkowym „Był naszym przyjacielem”, który po raz pierwszy serio, a może i z pewnym wzruszeniem prowadził Krzysztof Teodor Toeplitz, nazywając Cybulskiego „ośniewającym talentem”.

Łomnicki mówił, że była noc i Wiedza Mariacka strzeliście wyciągnięta dotykała nieba, kiedy Cybulski nieśmiało zapytywał, czy może być aktorem. Minęło kilkanaście lat, Cybulski odszedł od przyjaciół, zginął w świątach, o których nie mamy pojęcia lub mamy surowe, niedobre, że ich w ogóle nie ma i zostawił tylko swoje aktorstwo. Niepowtarzalne aktorstwo, do tego nie sprawdzone do końca, wyszydzone czasem przez recenzentów.

Pamiętam go sprzed lat siedmiu, kiedy pędził z nieodłącznym Kobięłą przez małą uliczkę Sopotu — Czernow, w grubym swetrze, a za nim leciały dziewczęta i moje rozczekawione spojrzenia. Pamiętam dlatego, że na scenie Wybrzeża był Janem z „Pierwszego dnia wolności” i przekonywał Dubrawską-Ingę, że świat jest na tyle zły, ile my sami tego zła nań sprowadzamy. Twarda Inga nie utopiła swej nienawiści w przebaczeniu, bo Cybulski nie mógł miękkością humanisty trafić do szowinistki. Indeż przypała śmierć — Cybulski szukał ciepła w sentymentach, frazeologii, poświęceniach i zrozumieniu.

Taki był dla mnie ten aktor: sentymentalny i rozumiejący, inteligentny i miękki. Bo ten aktor nie był Cybulskim — człowiekiem, ale Cybulskim — osobowością; jakimś pewno mitem, utkanym z ciepła i serdeczności.

Nie dziwię się załamaniem rąk Łomnickiego — bo to musiał być lubiany chłopak. Nie dziwię się Łom Kalfiny Jędrusik — bo jakże nie płakać, gdy odchodzi rówieśnik, z którym się mogło jeszcze grać, mogło go pocałować, objąć, odrzucić, a później w przerwie międzydźwiękowej pogadać o roli, przetrwać ją jeszcze raz na zasadzie analizy koleżeńsko-przyjacielskiej. Nie dziwię się so-

bie, że czuję drapanie w gardle, kiedy Maciek, co z taką brawurą gasi spirytusowy płomień świec i nie tęskni za Halinką, Rudym, ale za czasami, w których patos i koleżeństwo przenikały nastoletnich bohaterów, chrypliwym śmiechem anonuje swoją rozpacz.

Mówią — polski James Dean.

Pamiętacie w „Na wschód od Edenu” i ten wykład Chińczyka Li — clou Steinbeckowej filozofii na temat hebrajskiego słowa „Timszel”. „Możesz”, powiada Li po latach studiów, prowadzonych między ratowaniem Arona i Kaleba przed okrutnym światem. Możesz być dobry, uczciwy, możesz być wielkim człowiekiem, królem, dobroczyńcą, zwycięzcą. „Możesz” — dany ci został wybór i ty go w ostateczności realizujesz. Wszystko jest płynne, o ciebie i twojej woli zależne, twym duchem albo się zamysł wyłodzi, albo zanurzysz go w przepaści bagien, brudów, nieuczciwości.

Kaleba — Kaina grał James Dean, Był Kaimem nie tyle złowrogim, przewrotnym ile samotnym, sobie pozostawionym w dżungli uczuć ludzkich. Miał zwieszoną ramioną, uciekające oczy, sylwetkę zwierza wygonionego z kniei i wypuszczonego w sztuczny fałsz świata ludzkiego.

Takie samo samotne zwierzę zagrał Cybulski w „Popiele i diamentach”; zwierzę zgonione fałszem świata, niezajomością historii, niedojrzałością własną; zwierzę rzucone na śmietnik i zakopujące się w śmieci, kiedy wie, że czas umierać przyszedł.

Dean rozsywał swój wóz i swoją piękną powierzchowność na autostradzie amerykańskiej; Cybulski, bliższy życiu przeciętnego Polaka, zginął bardzo prozaicznie, marnie, na peronie dworca — między jedną pracą a drugą.

Myślę, że znał filozofię Chińczyka Li i owo zasyfrowane „timszel”; wiedział, że „móc” — to wcale nie znaczy gonić za sławą, łapać intratne role, ale szukać. W tym nieustannym szukaniu siebie, szukaniu sensu swojej pracy, sprawdzaniu swoich wielkich i pięknych możliwości, jakie, niestety, nie wszystkim są dane, zeszło mu jego niepełne 40 lat. Pewnie, że to dużo, jeśli się zrobiło wiele. Ale jak strasznie, okropnie, przerażająco mało, jeśli się miało pewnością, że spełnienie dopiero przed nami, że nie zdążyło się wyjawić swoich celów.

Dlatego bardzo żał mi Zbigniewa Cybulskiego — aktora.

Dlatego na tym miejscu muszę to powtórzyć.

I może zostawić Wam czasu trochę na dokończenie w sobie samych zastanowień wszelkich nad ulotnością życia ludzkiego, nad tą vanitas vanitatis i nad wartością oraz smakiem dobrego, sensownego działania poprzez sztukę.

Z kieszeni starego subiekta, po jego śmierci, wystawał mały skrawek papieru z napisem: „non omnis moriar”, którym Prus zakończył „Lalkę”. Nie zdążył w niej już kreować Wokulskiego; inna natomiast „Lalka”, robiona we Francji przez Baratiera, przynosi jego talent nawet po śmierci, bo wszystkie przecie nie umarł. Bo kiedy żył — wybierał, szacował i grał. Czasem na przekór żółtawej i płytkiej dżungli ludzkiej.

I to wystarczy. I to zostanie.

Krzysztof

Dziwy wokół „Jarmarku”

Statystyka mówi, że co trzechsetny Polak jest członkiem Polskiego Związku Filatelistów. 100 tysięcy, to już potężny klan! Jednak jak wielka jest armia urzędujących mikro dziełami sztuki, które zdobiją listy, karty i rozmaite przesyłki pocztowe — nie liczy nikt. Nic też dziwnego, że gdy na półkach księgarskich ukazał się „Jarmark znaczków polskich”, przyciągający w dodatku pięknym formatem albumowym i ze smakiem wykonaną barwną okładką — znikł błyskawicznie. Znikł, chociaż cena (70 zł) nie była znów tak bardzo dostępna dla najszerszego grona zbieraczy, jakim jest młodzież.

Autorzy: Janina Wierzbowska i Andrzej Piwowarski w przedmowie podkreślają, że podejmując się napisania gawędy o polskich znaczkach chcą m. in. wypełnić lukę w światowej literaturze filatelistycznej, jaką jest brak oryginalnej współczesnej polskiej książki o znaczkach, zbieractwie itp.

Książka ta stała się z miejsca w pewnym sensie „białym krukiem” wydawniczym. Po pierwszej nakład: aż 19 tys. egzemplarzy! Bawiąc się dalej w przeliczenia matematyczne dochodzimy do prostego wniosku, że tylko co 5-tysięczny i któryś tam zagorzały filatelista może pochwalić się posiadaniem tego unikalnego wydawnictwa. A książka z uwagi na jej popularyzatorsko-ciekawostkowy charakter powinna się znaleźć w pierwszym rzędzie w każdej bibliotece szkolnej, podręcznej biblioteczek kółek zainteresowań itp. Nie znajdzie się, bo szkół samych jest o wiele więcej, a reszta?

Proporcjonalnie niski nakład tłumaczy wysoką cenę, ale czym wytłumaczyć partacki sposób oprawy, słabe życie i tekturową okładkę z co prawda nadzwyczajną udaną, piękną, barwną okleiną, projektu Mateusza Gawryśa, który notabene ogromnie pomysłowo całą szatę graficzną „Jarmarku” opracował.

Jednak największy smaczek „Jarmarku”, zwyczajem hobbystów zdradzę dopiero teraz. Jest to książka, która pobija rekord czasu trwania druku. Oddano ją bowiem do składania — jak głos metryczka — 11 marca 1965 r., a druk ukończono w październiku 1966 r. Tak więc dojrzała w tyglu Zakładów Graficznych im. Kasprzaka w Poznaniu ponad półtora roku!

Do tych wszystkich ciekawostek, które już każą „Jarmark znaczków polskich” umieścić w bibliotece wśród rzadkich książek, dodajmy, że jest to wydawnictwo udane, spel-

niające założenie popularyzatora filatelistyki, szczególnie polskiej. Na uwagę zasługują również bogate ilustracje i piękny układ graficzny całości. Autorom za przygotowanie czytelnikom pysznej i zarazem pouczającej rozrywki należą się słowa uznania. Pod adresem Instytutu Wydawniczego „Nasza Księgarńca” natomiast życzenie: oby jak najszybciej ukazał się nowy nakład, może mniej luksusowy i tańszy, ale za to tak wysoki, by książka mogła się stać własnością każdego filatelisty, szczególnie tego początkującego, który tkwi jeszcze w mundurku szkolnym. Z myślą o nim głównie „Jarmark” był przecież pisany. To wypływa jednoznacznie z uroczego tekstu, pełnego wspomnień z miodziennych lat.

M. G.



Wiesław Rogowski: KAMIENNY BRUK. Poznań 1966, Wyd. Poznańskie, s. 176, cena 14 zł.

Autorem jest 36-letni redaktor Kozłowski Polskiego Radia w Szczecinie. Pięta z kolei powieść tego autora podejmuje tematykę osnutą na tle wydarzeń Krwawej Niedzieli w Bydgoszczy. Występuje w niej wiele postaci, które żyją do dziś dnia bezkarnie w Niemczech zachodnich i na zachodzie Europy.

Jerzy Janicki: BIOGRAFIA W WALIZCE. Wwa 1966, Iskry, s. 152, cena 8 zł. Wspomnienia dziennikarza (ur. 1928 r.), który rozpoczął pracę w 1945 roku jako siedemnastoletni chłopiec. Od tej pory para się tą dziedziną twórczości. Współautor popularnej serii radiowej „Majsiakowie” w książce swej podaje wiele anegdot o ludziach, z którymi zetknęła go praca dziennikarska.

Juliusz Znamierowski: TRZECIA TWARZ MIASTA. Wwa 1966, PIW, s. 196, cena 15 zł.

Jest to zakończenie cyklu powieściowego (Vulkan AG, Zielone światło) o losach małego nadmorskiego miasteczka w okresie II wojny i po wyzwoleniu. Omawiana dotyczy współczesnego losu tego miasteczka położonego na Pomorzu Zachodnim. O ludziach, sprawach i konfliktach.

Stanisław K. Sawentier: POLACY Z PIEKLA RODEM. Gdynia 1966, Wyd. Morskie, s. 236, cena 20 zł.

Obszerny ten reportaż opowiada o niecodziennych dziejach osady Piekło, leżącej nad Wisłą. Fakty i wydarzenia zawarte w książce są wiernym obrazem losów polskich szkół wileńskich w epoce Wolnego Miasta Gdańskie.

Henryk Sienkiewicz: TRYLOGIA. Wwa 1966, PIW, Ogniem i mieczem t. I/II, Po-

top t. I-III, Pan Wołodyjowski t. I, cena całości 90 zł. Nakład 25 tys. egz.

Szkoda, że w broszurowej oprawie ukazała się od dawna poszukiwana wojenna epopeja, której akcja rozgrywa się w XVII wieku.

John Oliver Killens: I USEZYJELSMY GRZMOT. Wwa 1966, PIW, s. 572, cena 32 zł. Klub Interesującej Książki. Amerykański autor jest przewodniczącym dwu murzyńskich komitetów pisarskich. Dwadzieścia sześć miesięcy spędził na froncie w strefie Południowego Pacyfiku, służąc w jednostkach desantowych. Ta autobiograficzna powieść pokazuje rzeczywistą sytuację Murzynów w pseudodemokratycznej armii USA.

Edith Wharton: STARY NOWY JORK. Wwa 1966, PIW, s. 308, cena 20 zł.

Autorka (1862-1937) jest jedną z najwybitniejszych powieściopisarek i nowelistek amerykańskich. Najchętniej odmalowuje w swych utworach środowisko mieszczańskie. Omawiany tom zawiera cztery nieznanne w Polsce nowele.

Kazimierz Kwaśniewski: GDZIE JEST TRZECI KRÓL? Wwa 1966 Iskry, s. 196, cena 20 zł. „Srebrny klucz”.

Akcja tej kryminalnej powieści rozgrywa się w starym barokowym pałacu, a przedmiotem chronologim przez milicję portret jednego z trzech królów. I odwieczna zagadka: kto zabił...

Stanisław Królki: HIERARCHIA KOŚCIELNA WOBEC WYBUCHU POWSTANIA 1863 R. Wyd. II uzup. Wwa 1966, KIW, s. 216, cena 20 zł.

Rzeczowo udokumentowana praca omawia stan i sytuację kościoła w Królestwie Polskim w latach 1855-1863 oraz stosunek Watykanu do sprawy polskiej.

Jan Kluczyński: ZAWÓD EKONOMISTY W POLSCE LUDOWEJ. Wwa 1966 KIW, s. 357, cena 15 zł.

Autor omawia problemy kształtowania się zawodu ekonomisty, jego funkcje w procesie zarządzania gospodarką narodową oraz terenowe rozmieszczenie kadr ekonomistów. W drugiej części książki znajdziemy wyniki empirycznych badań przeprowadzonych wśród absolwentów

wyższych studiów ekonomicznych z lat 1953-1961.

Georges Friedmann: MASZYNA I CZŁOWIEK. Problem człowieka w cywilizacji maszynowej. Wwa 1966 KIW, s. 416, cena 15 zł.

Drugie w języku polskim wydanie dzieła francuskiego uczonego. Książka zajmuje się istotą cywilizacji technicznej w dzisiejszym świecie. Od I wydania w 1945 r. stale uzupełniana stosownie do postępów nauki, jest wciąż aktualna, budzi w świecie żywe zainteresowanie, jest przełożona na wiele języków.

ANTYNOMIE WOLNOŚCI. Z dzieł filozofii wolności. Wwa 1966 KIW, s. 503, cena 12 zł.

Zbiór rozpraw filozoficznych, których wspólnym tematem są dzieje, rozwój oraz różnorodne interpretacje pojęcia wolności w poglądach różnych filozofów.

Barbara Szacka: STANISŁAW STASZIC. Wwa 1966 PIW, s. 271, cena 12 zł. Tom z serii „Ludzie żywi”. Autorka stara się zbliżyć czytelnikowi postać znanego działacza i publicysty epoki Oświecenia. Chce, jak mówi, „pokazać, jak świat wyglądał w oczach Staszica, a Staszic w oczach świata”. Ciekawy materiał ilustracyjny.

Marian Bielecki: ZAPOMNIANY ŚWIAT SUMERÓW. Wwa 1966 PIW, s. 386, cena 12 zł.

Monografia jednej z najstarszych cywilizacji świata — państwa Sumerów istniejącego przez całe tysiąclecie p.n.e. Wiele wiadomości z zakresu polityki, historii, kultury, obyczajowości. Liczne ilustracje.

Adam Kruczkowski: POLITYKA ZAGRANICZNA POLSKI LUDOWEJ. Wwa 1966 KIW, s. 163, cena 15 zł.

Tomik z serii „Biblioteki Naukowej Naukowca”. Autor przedstawia dorobek polityki zagranicznej Polski Ludowej na tle głównych problemów stosunków międzynarodowych, pokazując przyjaźń Polski z krajami socjalistycznymi, współpracę i pomoc dla państw nowo wyzwolonych oraz dążność do pokojowego współistnienia z krajami o odmiennych systemach społeczno-politycznych.

Na naszym ekranie

POLA NEGRI

Nastolatkom dźwięk tego nazwiska nie mówi nic, ale starsi, tacy zupełnie starsi panowie, słysząc je, wzdychają i zachwycają się:

— Ach, Pola Negri... Takie to było drobne, filigranowe, ale oczy, proszę państwa, oczy...

Opasie tomisko amerykańskiego rocznika "Who is who" notuje: Pola Negri, urodzona w Lipnie, Polska, w roku 1899; źródła krajowe są bardziej niedyskretne, toteż prasa polska obwieściła w tym tygodniu, że znakomita gwiazda obchodzi w tym roku swoje 70-lecie.



Oczywiście Negri to pseudonim, podobnie jak Loren. Nasza jubilatka nosiła autentyczne polskie nazwisko Chałupiec i bardzo popularne w owych czasach imię Apollonia. Urodziła się rzeczywiście w Lipnie, na Kujawach, ale w roku 1897, a wychowała w Warszawie, gdzie jej matka po śmierci męża zajmowała się praniem bielizny w bogatych domach.

Mała Pola wykazywała się dużymi zdolnościami i zamiłowaniem do tańca, toteż matka postanowiła kształcić ją w tym kierunku.

Po ukończeniu nauki w szkole baletowej młoda dziewczyna tańczyła w operze warszawskiej, a następnie kończyła szkołę aktorską i występowała w Teatrze Małym oraz Letnim. Jako tancerka i aktorka odnosi sukcesy.

Sugestywna gra panny Chałupiec, jej mimika i gestykulacja zwróciły na nią uwagę jednego z pionierów

kina polskiego Aleksandra Herta. Były to czasy filmu niemeo, który wymagał takiego właśnie rodzaju aktorstwa.

Negri zadebiutowała na ekranie w filmie „Niewolnica zmysłów”. W ciągu 2 lat wystąpiła w Polsce w dziewięciu obrazach, m. in. w „Be stii”, „Czarnych książkach”, „Arabelli”, „Pokoju nr 13” i „Studentach”.

Po zajęciu Warszawy przez Niemców Hertz, który był przedstawicielem berlińskich wytwórni filmowych i przedsiębiorstw dystrybucyjnych, zaproponował swoim przełożonym zaangażowanie 3 polskich aktorek, wśród nich Polę Negri. W karierze aktorki rozpoczyna się nowy etap. Jej pierwszy film w Niemczech reżyseruje Max Reinhardt, następnie — Ernest Lubitsch. Są to filmy udane i Pola Negri zostaje wkrótce gwiazdą nr 1 filmu niemieckiego. W latach dwudziestych Lubitsch wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych. Jedzie tam również nasza gwiazda.

Jest to okres przejściowy od filmu niemeo do dźwiękowego. Nowy wynalazek zmniejsza zapotrzebowanie na aktorki o żywej mimice i „wymownych” oczach. Liczy się także głos. Wiele gwiazd filmu niemeo nie zdaje egzaminu w nowych warunkach i kończy swą karierę. Pola Negri wychodzi jednak z tej próby zwycięsko. Po kilku filmach staje się jedną z czołowych gwiazd USA, rywalką słynnej Glorii Swanson. Dochodzi do słynnego romansu Polę z bożyszczem tłumów pań z całego świata — Rudolfem Valentino. Nazwiska tej pary nie schodzą z łamów prasy. Agenci reklamowi Hollywoodu mają pełne garście roboty.

Młode pokolenie nie pamięta tych czasów i nie zna filmów z Polą Negri. Starsi z pewnością jednak wspominają takie filmy, jak „Cienie Paryża”, „Zakazany raj”, „Świątowa dama”, „Miłość aktorki”, „Z rozkazu kobiety” i wiele innych.

W latach trzydziestych Negri wraca na jakiś czas do Niemiec, jednak po wybuchu wojny wyjeżdża do Stanów na stałe. Występuje jeszcze w filmach do roku 1943, a następnie pisze pamiętniki i książki o filmie. Przed kamerą wystąpi dopiero w roku 1966, idąc za przykładem wielu stooich rówieśniczek, które choć na krótko wróciły do filmu.

Takie są — w olbrzymim skrócie — dzieje aktorki, która talent swój kształciła w Polsce, błysnęła nim w Niemczech, by osiągnąć szczyty kariery w dalekich Stanach Zjednoczonych.



KATARZYNA BILIK

działacz kulturalny z Wojtkowej, pow. Ustrzyki

RYS. J. SIENKIEWICZ

W 25 krajach — wystawy prac polskich artystów

Mieszkańcy 25 krajów Europy, Ameryki, Australii i Azji oglądać będą w br. dzieła polskich artystów bądź na międzynarodowych wystawach sztuki, bądź na wystawach zespołowych i indywidualnych.

Do najważniejszych spośród 20 imprez międzynarodowych, na których reprezentowana będzie sztuka polska, należą: Międzynarodowe Biennale w Sao Paulo (Brazylia), Biennale Młodych w Paryżu, III Międzynarodowe Biennale Tkaniny w Lozannie, IV Biennale Grafiki Artystycznej w Lublanie oraz Międzynarodowe Biennale Rzeźby w Antwerpii. Polscy artyści będą także uczestniczyć w międzynarodowej wystawie medalierskiej „Fidem” w Paryżu, w ekspozycji rzeźby „Madurodam” w Hadze, w międzynarodowej wystawie prac kobiet — malarek i rzeźbiarek w Nancy. Weźmiemy również udział w organizowanej po raz pierwszy wystawie sztuki współczesnej świata w New Delhi i — jak zwykle — w wystawie sztuki współczesnej w Monte Carlo, a ponadto — w II Biennale Sztuki Krajów Nadbałtyckich w Rostocku i w międzynarodowej wystawie grafiki „Intergrafic” w NRD. Przewidziany jest nasz udział w międzynarodowej wystawie sztuki w Pittsburgu (USA), w międzynarodowym salonie fotograficznym w Japonii, w międzynarodowej ekspozycji „Premio Fiorino” we Florencji i w dwóch konkursach ceramicznych (Perugia i Faenza) we Włoszech.

Ponad 50 zespołowych i indywidualnych wystaw prac polskich artystów urządzonych będzie w tym roku za granicą. Przygotowywane

są trzy zestawy prac współczesnych malarzy polskich, które wysłane zostaną: pierwszy — do Czechosłowacji, Jugosławii i Bułgarii; drugi — do krajów skandynawskich; trzeci — do Anglii. Inna wystawa polskiego malarstwa współczesnego odwiedzi po raz pierwszy Australię. Ekspozycja polskiej tkaniny artystycznej pokazana zostanie w Belgii i Holandii, a wystawa polskiej tkaniny średniowiecznej — w Szwecji. Prace polskich malarzy „prymitywnych” obejmą mieszkańcy kilku miast w NRF. W Rzymie urządzimy wystawę „Warszawa i Włosi w Warszawie”, a w zamian gościć będziemy w naszej stolicy ekspozycje „Rzym i Polacy w Rzymie”. W Związku Radzieckim, Francji i krajach skandynawskich zaprezentujemy wystawę teatralną oraz scenografię. Przygotowywane są ekspozycje polskiej architektury, które zamierzamy pokazać w Anglii, Brazylii i Chinach.

Ponadto przewidzianych jest wiele indywidualnych wystaw prac naszych artystów, które pokażemy w różnych krajach. Szereg takich wystaw urządzonych zostanie na zasadzie wymiany między ZPAP a związkami twórczymi krajów socjalistycznych.

(Zygmunt Bielecki, Kt-PAP)

Zdarzenia tygodnia

20 bm. koncert Państwowej Filharmonii im. Artura Malawskiego w Rzeszowie prowadził dyrygent rumuński, George Vintila.

Orkiestra wykonała I Symfonię J. Brahmsa i II Rapsodię G. Enescu. Artyści: G. Verdigo „Don Carlos” i „Trubadur” śpiewała Krystyna Szostek-Radkowska (mezzosopran), artystka Opery Warszawskiej.

Z danych, jakie nadeszły do Wydziału Kultury Prez. WRN wynika, że w 1966 roku w województwie rzeszowskim oddano do użytku 18 wiejskich domów kultury, wybudowanych w czynie społecznym. Świadczenia ludności na ten cel wyniosły 13 175 tys. zł, a dotacje państwowe 13 766 tys. zł. Tym samym założony plan budowy wiejskich domów kultury został przekroczony. Warto jeszcze podkreślić, że rok 1966 był pod tym względem rekordowy.

19 bm. odbyło się posiedzenie komisji kultury Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych w Rzeszowie, poświęcone omówieniu założeń programowych działalności w 1967 r.

Podczas obrad powołano prezydium komisji i sekcje problemowe.

W czwartek w klubie — kawiarni ZDK WSK Rzeszów odbyła się premiera tradycyjnej już „Rzeszowskiej” szopki 1967 w wykonaniu Teatru Słowa „Meluzyna”. Autor tekstu — Władysław Szwaja.

Program będzie prezentowany w czwartki, soboty i niedziele.

Centralna Rada Związków Zawodowych potwierdziła ostatecznie wyniki konkursu — plebiscytu „Poznajmy film polski roku 1965”, zorganizowanego w ramach Festiwalu Kulturalnego Zw. Zaw.

Jak już informowaliśmy, najlepsze wyniki uzyskały kino „Metalowiec” z Mielenia (9 414 widzów i 5 070 kuponów) oraz kino „Mewa” w Rzeszowie (5 458 widzów i 5 189 kuponów). WKZZ prosi posiadaczy kuponów nr 138320, 138667, 139788 o zgłoszenie się do dnia 31 bm., celem odebrania wylosowanych bonów towarowych.

Informujemy zainteresowanych, że Biuro Wystaw Artystycznych w Rzeszowie zamierza w tym roku organizować w każdy poniedziałek (wyjąwszy przerwę wakacyjną) odczyty na tematy sztuki.

W dniu 16 bm. odczyt zatytułowany „Tradycje malarstwa angielskiego” wygłosił krakowski artysta malarz Jacek Waltoś (pobyt na W. Brytyjskich). Kolejny odczyt pt. „Współczesna twórczość plastyczna w Anglii” odbędzie się 23 bm.

W czwartek odbyła się w WKZZ narada instruktorów k.o. zarządów okręgowych zw. zaw., poświęcona przygotowaniom obchodów 50 rocznicy Rewolucji Październikowej i 25-lecia powstania PPR. Omówiono również sprawy związane z podsumowaniem współzawodnictwa placówek k.o., zorganizowanego w ramach Festiwalu Kulturalnego Zw. Zaw. i program działalności kulturalno-oświatowej na rok 1967.

Władze miejskie Rzeszowa przydzieliły Towarzystwu Przyjaciół Nauki i Sztuki lokal. Obecna siedziba Towarzystwa mieści się w budynku przy ul. Grunwaldzkiej 6.

W niedzielę tj. 22 bm. w Domu Sztuki przy ul. i Maja w Rzeszowie zostanie otwarta wystawa malarstwa Bolesława Duszy i grafiki Adolfa Jakubowicza.

Kalman Segal

Bohater powieści

Redaktor Poledwica i literat Kwiatuśko siedzieli w gospodzie i pili kefir.

— Ten człowiek cierpi na nieuzasadnione kompleksy — powiedział redaktor. — Dlaczego on jest taki smutny? Dlaczego myśli o śmierci? Dlaczego nie interesuje się kobietami albo piłą nożną? Co to za typ?

Literat zamyslił się. Po jego twarzy przemknął wyraz nieopisanego bólu.

— Takie zmartwienie. Co ja teraz pocznę?

— No, jeszcze nie wszystko stracone, — pocieszył go redaktor Poledwica, który w gruncie rzeczy nie był człowiekiem najgorszym. — Niech pan coś z nim zrobi. Niech go kto skrzywdzi. Jeśli jest taki smutny, niech przynajmniej będzie wiadomo dlaczego. A nie mógłby pan go zabić?

— Nie mogę — bronił się literat. — Sumienie mi nie pozwala.

— Nie nalegam — powiedział redaktor. — Do niczego pana nie namawiam, panie kolego, ale sądzę, że z powodzeniem mógłby się pan postarać, żeby zachorował. Niech dostanie raka albo przynajmniej zapalenia płuc.

Literat zaczął się łamać. Redaktor Poledwica wzmochnął natarcie.

— Mógłby pan, panie Kwiatuśko, postarać się, żeby ten gość umarł, ostatecznie nikt przecie nie żyje wiecznie, a jego śmierć będzie uwiecznieniem pesymizmu, jaki go gnębił przez tyle lat. On musi umrzeć. Niech go pan nie broni i niech go pan nie próbuje ratować.

Literat zwiesił głowę i westchnął. Załamał się.

— A potem dostanę zaliczkę? — zapytał cicho.

— Tak, dostanie pan zaliczkę, — powiedział zyczliwie redaktor. — Dostanie pan zaliczkę i będziemy drukować w odcinkach.

Literat przyknął oczy. Pomyślał o nowych szeszczących banknotach, o wycieczce do Bułgarii i o pięknych kobietach, jakie zapraszać będzie na wódkę.

Ze wstrętem odsunął szklankę z której pił kefir, przeprosił redaktora i poszedł do domu zamordować smutnego bohatera swej nowej powieści.

Widnokraż odpowiada

„Mała”: Coś w tym jest, ale o drukowaniu na razie nie może być mowy. W wierszach jest sporo kultury i wyobraźni, sporo wrażliwości, ale również niemało naiwności i banału. Warto więc pracować nad sobą dalej i zachować cierpliwość. Nigdy nie twierdzimy, jak Pani pisze, że ktoś jest za młody, by pisać dobre wiersze, natomiast sądzimy, że doświadczenie i wiedza o świecie i sobie na pewno nie jest w twórczości zbędna.

Pola S. Budziwój pow. Rzeszów: Niestety, nie skorzystamy. Rymowanki są dość gładkie i wesołe, ale to, niestety, nie poezja. Nie drukujemy również tekstów do piosenek ani wierszy satyrycznych.

St. K. — Krosno: Opowiadanie ma bardzo szlachetne intencje umoralniające, lecz jest sentymentalne, naiwne i zbyt dydaktyczne. Nic w nim nie zapowiada dobrej autentycznej prozy. Wiersz nie podobał nam się również. Pełno w nim dziarskich pokrzykiwań, w rodzaju patrzcie hen, już czas, wstańcie czym prędzej, stańcie w szeregu kto Polak itd.... Mnóstwo banałów i taniutki emocjonalności. Nie skorzystamy i nie widzimy perspektyw w twórczości literackiej Pani na przyszłość.

T. G. z Kańczugi: Niestety, w wierszach zbyt dużo błędów ortograficznych, gramatycznych i stylistycznych, by można było je poważnie traktować. Zresztą tyle już było wierszy z „rozdartymi sercami”, „ze straszną niepewnością” i z „tęsknotą”, że Pana utwory naprawdę nic nowego nie wnoszą.

„Proszę o przyjęcie mnie do zespołu „Śląsk”

Każda wzmianka prasowa lub komunikat radiowo - telewizyjny o kolejnej rekrutacji do Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” wywołuje prawdziwą lawinę listów do Koszycina. Z prośbą o przyjęcie zwracają się do dyrekcji Zespołu młodzi chłopcy i dziewczęta z Tarnowskich Gór i Krzeszowic, Wrocławia i Drawska w woj. koszalińskim, Częstochowy i Puław, Warszawy i Węgorzewa, Niemodlina i Sierpca. Po takim komunikacie, opublikowanym w pierwszych dniach listopada ub. roku, do siedziby „Śląska” w ciągu jednego tylko tygodnia wpłynęło ponad 500 listów, a od chwili powstania Zespołu (w 1954 r.) — przeszło 150 tysięcy. Chętnych jak widać — jest dużo, ale „oczka” w sitach prób i eliminacji są małe. Wystarczy przypomnieć, że pierwszy, 120-osobowy skład „Śląska” wylo-

niono spośród 12 tysięcy kandydatów i kandydatek. Z tego składu po dziś dzień tańczy i śpiewa w Zespole tylko ok. 40 osób.

Nie ulega wątpliwości fakt, że obok zamilowania kandydatów do śpiewu i tańców, olbrzymim magnesem przyciągającym ich do „Śląska” są jego wojaże zagraniczne. W ciągu minionych 12 lat dziewczęta i chłopcy z Koszycina dali w obcych krajach ponad 450 występów. Oklaskiwali ich Anglii, Belgowie, mieszkańcy Danii, Grecji ZSRR, USA, Francji, państw skandynawskich, Kanady, Meksyku, ZRA, Chin i Węgier oraz wielu innych krajów. Łącznie z występami w różnych miastach w kraju „Śląsk” dał dotychczas ponad 1,2 tys. koncertów dla przeszło 10 milionów widzów.